



NASZĄ WŁASNĄ P R A C ą

dźwignęliśmy z bezprzy-
kładnego zniszczenia uko-
chane miasto. Własną wy-
tężoną pracą doprowadzi-
my je do rozkwitu... (Z Pro-
gramu Wyborczego Stołecznego
Komitetu Frontu Narodowego)

Fot. „ŚWIAT” — W. SŁAWNY

ZBAWIENIE przyjdzie z Bangkoku. Wieki całe walczone z postępowaniem — nie pomogło. Dziesiątki lat największe potęgi świata przeciwstawiały się klasie robotniczej i jej rewolucyjnym ideom — nie dały rady. Trzydzieści siedem lat walczą imperialiści z Rewolucją Październikową, ze Związkiem Radzieckim — nie wychodzi. Znikł nawet Hitler ze swą najpotężniejszą rzekomo armią świata — a idee marksizmu-leninizmu rozkwitają, Związek Radziecki rozkwita, narody wyzwala się, siły ludów potężnieją.

Jak powstrzymać postęp? Ten problem nurtuje niejednego obrońcę i rzecznika starych porządków, rzecznika wojny, ucisku i niewoli. Najtęższe umysły kapitalizmu amerykańskiego zastanawiają się nad tym. System McCarthy'ego ma pewne zastosowanie w samej Ameryce, ale poza jej granicami okazuje się całkowicie bezsilny.

Wybawienie dla kapitalizmu przychodzi z Bangkoku.

Nie na darmo Dulles oparł się w Azji na Syjamie, wciągając ten kraj do SEATO. Syjam kraj nieduży: niecałe 16 milionów mieszkańców. Wydawałoby się, że niewielka to przeciwwaga dla porozumienia Chiny — Indie, reprezentującego miliard ludzi. A jednak okazało się, że niczego w świecie lekceważyć nie należy. Syjam kraj mały, ale głowy w nim do pozłoty.

OTO ni mniej ni więcej w Bangkoku, stolicy owego Syjamu, rząd tego kraju wymyślił sposób przeciwko komunizmowi. Aż dziwne, że nikt dotychczas na to nie wpadł. A może McCarthy jest agentem komunistycznym i dlatego ukrył ten radykalny, niezawodny sposób walki z komunizmem? Sądzę, że to zostanie w Ameryce zbadane. Dość na tym, że rząd syjamski, sprzymierzony ze Stanami Zjednoczonymi, wydał postanowienie, które zadecydować ma o losach świata. Rząd w Bangkoku mianowicie wydał nakaz likwidacji koloru czerwonego.

Oto po trzydziestu siedmiu latach od chwili wybuchu i zwycięstwa Rewolucji Październikowej wynaleziono skuteczne lekarstwo na socjalizm i komunizm. Ach, żeby to Mikołaj II, Denikin, Wrangel, Kołczak, Kiereński i inni byli tak mądrzy, jak dziś ministrowie syjamscy. Hej, lza się kręci w oku Dullesa, w oku Adenauera...

Komunikat Agencji „France Presse” w tej sprawie brzmi jak następuje:

„Rząd Syjamu wszczął walkę z kolorem czerwonym, uważanym przez za czynnik, mogący skłonić ludność Syjamu do przyjęcia ideologii komunistycznej. Pierwszym środkiem, jaki zastosowano w tym zakresie, jest zmiana koloru godła państwowego na czarny. Czerwień jest również tradycyjnym kolorem domu królewskiego Thai, a książęta w czasie oficjalnych wystąpień zawsze są odziani w szaty koloru czerwonego. Pieczęcie ministerialne są czerwone. Wszystko to ulegnie teraz zmianie. Nagłówki i herby państwa na listach oficjalnych będą wydrukowane kolorem czarnym, a pieczęcie skrapiane czarnym tuszem. Poza tym czerwone dachówki, które pokrywają dachy budynków publicznych, będą zastąpione dachówkami koloru zielonego. Drzewa o liściach karmazynowych, które dotychczas upiększały Bangkok i jego okolice, zostaną wyrwane z korzeniami. Kolor czerwony ma zniknąć ze stolicy Syjamu — tak postanowił rząd”.

A biedny Kiereński musiał uciekać jak niepyszny przed zbuntowanymi marynarzami! A wystarczyło tylko w ówczesnym Piotrogradzie wydać po prostu nakaz zniszczenia całej czerwieni

ni i historia nie potoczyłaby się w kierunku sprawiającym tyle kłopotów dotychczasowym władcom świata. Kiereński musi być niepokieszony.

CZEGÓŻ to by nie było, gdyby czerwień skazano na zatracenie wówczas w październiku 1917 roku w Rosji, albo w ogóle jeszcze wcześniej? W niektórych krajach udało się zahamować wpływy Rewolucji Październikowej. Ale niestety, nieskutecznie, nie na miarę historyczną. Ot na przykład w Polsce. Zduszono, zdławiono, rozpedzono rady robotnicze, ów załazek władzy ludu. Przeszło niewiele lat, jak na miarę historyczną, a naród polski znów wybiera swoje rady — rady bez panów, bez bankierów, obszarników i zdrajców.

Bo stał się ten naród istotnie niepodległym inną niepodległością niż ta, której użyła Polska kiedyś Ameryka, Anglia i Francja. O tej niepodległości, stając w obronie rad, KPP głosiła:

„Czyż Polska jest dziś istotnie niepodległa? Czy lud polski może stanowić, że chce żyć w pokoju i zgodzie z sąsiadami? Że pracę swą chce tak lub inaczej organizować? Że produkty swej pracy chce sprawiedliwie wymienić na te lub inne produkty innych społeczeństw? Że nie chce swą krwią płacić milionowych podatków za pieniądze roztrwonione lub za zagrabione przez polską lub obcą burżuazję? Czy chłop i robotnik polski są wolni decydować o tym wszystkim? Nieprawda. Polski chłop i robotnik ginąć muszą na wojnach, bo tak im każe polska burżuazja, a tej dyktuje prawa burżuazja silniejszych państw.

„Chłop i robotnik polski umierają z głodu, z braku pracy, bo kapitalista polski nie chce uruchomić fabryk, bo obszarnik paskiem żyje, nie pracą...”

W innym miejscu tej wartej przypomnienia broszury z roku 1918, zatytułowanej „Rady delegatów robotniczych w niebezpieczeństwie”, KPP głosiła:

„A w domu dach wali się nad głową, żona i dzieci przymierają głodem o proszonym chlebie...”

„Budownictwo dzisiejszej burżuazji polskiej to zakuwanie klasy robotniczej w coraz ciśniejszą obrecz nędzy i głodu.

„Przeciw temu budownictwu Polski burżuazyjnej my, komuniści, walczymy, do walki wzywamy proletariat, by obaliwszy swych katów i zdzierców, przystąpił sam do budowania swego życia społecznego na podstawach socjalizmu...”

Sądzę, że o owej walce o rady robotnicze i o samych radach warto przypomnieć i w rocznicę Rewolucji Październikowej, i w toku wyborów do naszych rad narodowych, budujących życie społeczne na zasadach socjalizmu.

ACO do dekrétów rządu z Bangkoku.

Myśl chyba jest niewykonalna. Usunąć czerwień z życia ludzkiego jako przyczynę rewolucji i postępu? To się nie da. Czerwień jednak, czy to się podobą rządowi syjamskiemu czy nie, ściśle jest związana z życiem ludzkim.

Czerwień dałoby się usunąć z życia ludzkości tylko wraz z samym życiem.

Czerwień to życiodajna barwa ludzka.

To kolor krwi.

JAN SZELAĞ

NALEPSZYCH SPOŚRÓD NALEPSZYCH



W całym kraju trwają ożywione przygotowania do wyborów. Rośnie zainteresowanie, wzrasta udział mieszkańców miast i wsi w dyskusjach nad programami wyborczymi. Zgodnie z ordynacją wyborczą, w fabrykach i w gromadach, w spółdzielniach produkcyjnych i w PGR-ach, w zakładach pracy, instytucjach kulturalnych i naukowych odbywają się zebrania, na których wysuwani są kandydaci do rad narodowych. Wysuwają kandydatów do rad studenckich i profesorowie, robotnicy i artyści, chłopcy i pisarze, ludzie pracy miast i wsi w całej Polsce. Głęboko demokratyczny sposób wysuwania i omawiania kandydatur do rad przez wyborców ułatwia komitetom Frontu Narodowego zestawienie listy kandydatów spośród ludzi najbardziej odpowiednich i zasłużonych, cieszących się zaufaniem i szacunkiem obywateli. Na zdjęciach fragmenty zebrania przedwyborczego w Fabryce Włókien Sztucznych w Szczecinie.

CAF

SESJA POMORSKA PAN



CAF

28.X. zakończyły się w Gdańsku czterodniowe obrady Sesji Naukowej Instytutu Historii i Wydziału Nauk Społecznych PAN, poświęcone pięćsetnej rocznicy powrotu Pomorza do Polski. Na zdjęciu: przemawia Jan Trusz, pierwszy sekretarz gdańskiego KW PZPR. Końcowe przemówienie wygłosił prof. dr Henryk Jabłoński.

STUDENCI POMAGAJĄ W WYKOPKACH



CAF

Dla uczczenia II Zjazdu ZMP studenci Politechniki Gdańskiej postanowili pomóc robotnikom PGR woj. gdańskiego w wykopkach ziemniaków. W akcji tej wyróżnili się m. in. studenci IV roku Wydziału Budowy Okrętów: L. Bednarski, L. Klimek, E. Dozor i A. Nowak. Na zdjęciu: przodująca czwórka przy pracy.

WYBIERZEMY DO RAD NARODOWYCH



NIEMIECKA WYSTAWA NAUKOWA



W czasie niedawnego Tygodnia Postępowej Kultury Niemieckiej, w gmachu ZZNP w Warszawie, otwarta została wystawa pt. „Pomoce naukowe w NRD”.

GOŚCIE FRANCUSCY W POLSCE



Bawiąca w Polsce delegacja francuskiego „Stowarzyszenia Odra-Nysa” z Henrykiem Korab-Kucharskim na czele — zwiedziła w Szczecinie Dom Dziecka, którego część wybudowano ze składek postępowego wychodźstwa we Francji.

SŁUSZNE ŻĄDANIA LUDU WŁOSKIEGO



W wielu prowincjach Włoch, a w szczególności na Sycylii, przybierają na sile protesty mas ludowych przeciwko obszarniczemu wyzyskowi oraz polityce chadeckiego rządu. Małorolni i bezrolni chłopci demonstrują w wioskach i miasteczkach domagając się zwiększenia płac i zmniejszenia podatków.

ZAMKNIĘCIE WYSTAWY W LUBLINIE



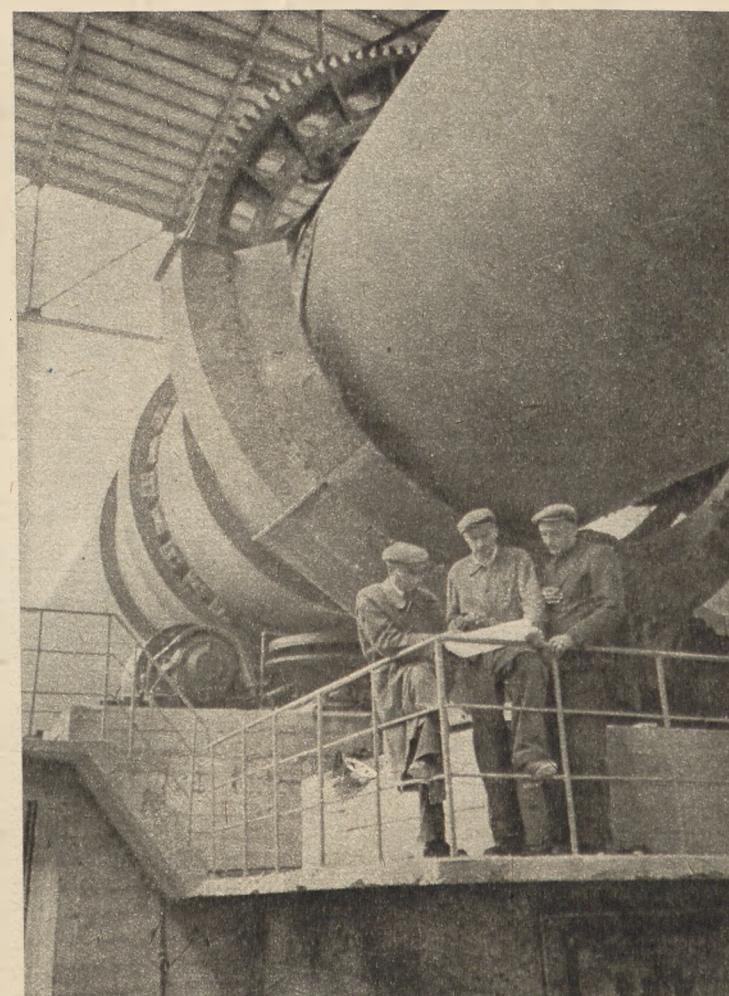
W czasie zamknięcia Centralnej Wystawy Rolniczej odbyła się uroczystość wręczenia przodującym chłopom wysokich odznaczeń państwowych. Na zdjęciu: min. Pszczółkowski dekoruje Srebrnym Krzyżem Zasługi Józefa Perkora z gromady Stwojno.

UROCZYSTOŚĆ W SORBONIE



Z okazji 20 rocznicy odkrycia sztucznej promieniotwórczości przez wybitnych uczonych — Irenę i Fryderyka Joliot-Curie — odbyła się w amfiteatrze Sorbony specjalna uroczystość, w czasie której złożono małżonkom Curie wiele serdecznych życzeń.

DRUGI PIEC PRACUJE



Pracuje już drugi piec obrotowy cementowni „Rejowiec II”. Na zdjęciu: monter pieców obrotowych Wiśniewski, palacz Damski i młynarz Rudenka omawiają plan produkcji klinkieru.

POD LAMPIONAMI PEKINU

Napisał: ANDRZEJ BRAUN

Korespondencja własna „Świata“



Premier Nehru przybywa na bankiet, wydany na jego cześć przez Mao Tse-tunga. Na zdjęciu od lewej: Czu Teh, Jawaharlal Nehru, Czou En-lai oraz Lu Szao-tsi.

WPIĘKNE, słoneczne południe 19 października w całym Pekinie, a szczególnie na lotnisku, czuło się atmosferę wielkiego podniecenia, jaka panuje tutaj w ciągu ostatnich wielkich dni i która utwierdza na każdym kroku świadomość, że Pekin stał się wielką stolicą Azji, gdzie rozgrywają się historyczne wydarzenia, że jest to wielkie centrum międzynarodowej polityki, na które zwrócone są oczy świata.

Na lotnisku zgromadził się przeszło dziesięciotysięczny tłum. Zwartym czworobokiem ciemnieje morze granatowych drelachów, jak kwiaty migocą barwne stroje wszystkich narodowości Chin. Tłum ten falował i huczał wszelkimi narzeczeniami i językami zjednoczonego 600-milionowego narodu. Okrzyki, las wzniesionych dłoni. Wszystko to tonie w słońcu pięknego, pogodnego dnia pekińskiej, ciepłej jesieni. Pogoda była cudowna, jak gdyby ziemia chińska specjalnie przybrała się w swoje najpiękniejsze szaty na te historyczne chwile.

Tuż za lotniskiem w błękitnym powietrzu rysują się delikatne, brunatne kopce gór, strzela w niebo ażurowa pagoda z Pałacu Letniego Ihojan'u. Wielki, srebrny samolot premiera Indii ląduje na betonowej płaszczyźnie. Ogromny tłum wybucha ogłuszającą wrzawą okrzyków. Wysiada z samolotu i staje na ziemi chińskiej szczupły, srebrnowłosy mężczyzna w białym pirogu i zgrzebnym, obcisłym, białym spodniach. Twarz szlachetna, mądra, z lekkim odcieniem smutku, teraz promieniuje uśmiechem. Nieco orla głowa Nehru przyciąga wszystkie spojrzenia. Wita go premier Czou En-lai. Cichy głos Nehru brzmiał nietłumionym wzruszeniem, kiedy stojąc przed mikrofonem, witając naród chiński podkreślał głębokie związki kulturalne, ekonomiczne i historyczne, łączące dwa największe

i najstarsze kraje Azji na przestrzeni tysięcy lat. I oto po okresie niewoli imperialistycznej te dwa kraje znowu podają sobie ręce, biorąc na siebie odpowiedzialność za pokój w Azji. Właśnie ten sens istotny, jaki wyraża wizyta Nehru w Pekinie, te miliony ludzi, których reprezentują premierzy Indii i Chin, te tysiące lat historii łączącej oba kraje, nadają jakiś ogromny wymiar temu spotkaniu, budzą wzruszenie, któremu trudno się nie poddać.

Błyszcza krucz włosy i powłóczyście jedwabie Hindusek. Warkoczyki i proste dreluchy Chinek. Przejazd Nehru z lotniska do miasta przez szosy i ulice zmienił się w triumfalny pochód przyjaźni. Tak imponującej manifestacji, jaką zgotowali Chińczycy wysłannikowi 360-milionowego sąsiedzkiego narodu, dawno nie widziałem. Postacie premiera Czou En-laia i Nehru, stojące w olbrzymim samochodzie, płynęły przez wiele kilometrów pośród 200-tysięcznego tłumu wiwatującej ludności. Na przemian padały okrzyki w języku chińskim i hinduskim: „Ho ping wanse!“ „Hind Czini zindabad!“ Oto była zjednoczona, wyzwolona, pełna poczucia swej wspólnoty i wielkości Azja.

O czwartej po południu jesteśmy świadkami wielkiej chwili. Wjeżdżamy przez bramę Zimowego Pałacu, jadąc na miejsce, gdzie za chwilę Nehru spotka się z Mao Tse-tungiem. Samochód okrąża sztuczne jezioro, w którym przeglądamy się złoczone dachy pałacowe. Jesteśmy w samym sercu Pekinu. Wchodzimy po miękkich dywanach, jeden przedpokój, drugi... W szklanych gablotach podarki z całego świata dla Mao. Jest i polski model statku „Batory“. Czekamy w podnieceniu, obsiadając małe stoliki i przygotowując fotograficzne aparaty. Wreszcie wchodzimy do okrągłej dużej sali, pełnej starożytnych cesarskich kolumn i złoto-

19 PAŹDZIERNIKA PREMIER REPUBLIKI INDYJSKIEJ, PANDITH NEHRU, PRZYJĘTY ZOSTAŁ PRZEZ MAO TSE-TUNGA

BANKIET NA CZEŚĆ PREMIERA



szafirowych, bogatym ornametem pokrytych, belkowan. Otwiera się dwoje drzwi i oto historyczna chwila: z jednych wchodzi wysoka, rosła postać Mao Tse-tunga, w szarej kurtce zapiętej pod szyję. Ta sama łagodna twarz, znana z tysięcy portretów i obrazów. W drugich drzwiach pojawia się biała, szczupła postać Nehru. Zbliżają się do siebie. Uśmiechy i serdeczny, długi uścisk dłoni. W tej chwili blisko miliard ludzi uściśnięło sobie ręce.

Tegoż dnia o siódmej wieczorem cocktail-party w Pałacu Zimowym. Wśród ogromnych, czerwonych, cebulastych lampionów, wśród blasku reflektorów, pod kąpielami od złota stropami rozłożystych, kafelkowych, złotych i zielonych dachów ozdobionych fantastycznymi smokami, na kunsztownych dziedzińcach z marmurowymi balustradami i mostkami wygiętymi jak kocie grzbieity, wśród lakierowanych na czerwono kolumn i na miękkich sofach, zgromadzili się najwybitniejsi ludzie 600-milionowej Republiki Chin.

Nehru, obok energicznej, zdecydowanej twarzy Czou En-laia, poznaje przywódców i kierowników Republiki Chińskiej, legendarnych przywódców partyzanckich armii „długiego marszu“ i okrugów wyzwolonych. Rozmawia z Dalaj i Panczen Lamą, dwoma młodymi i ciemnoskórymi chłopcami o ogolonych do skóry głowach, przybranymi w paradne, żółte i czerwone kapy. Rozmawia z Sun Czin-lin, wdową po Sun Jat-senie. Cała historia Chin przeświada się przed oczami.

Dwudziestego odbył się wielki bankiet wydany przez premiera Czou En-laia. Ogromna sala nowego skrzydła hotelu „Pekin“, utrzymana całkowicie w chińskim, narodowym stylu, zastawiona stołami, wypełniona różnorodnym tłumem. Premier Czou En-lai podkreślił w przemówieniu wkład Indii i Panditha Nehru w dzieło walki o pokój na całym świecie, wkład Indii w rozjem w Korei i w Indochinach. Wspomniał o umowie handlowej, zawartej między Chinami i Indiami. Wylizując „pięć zasad“ przyjętych przez oba kraje, podkreślił, że stają się one wielkim wzorem pokojowego współżycia narodów w naszej epoce. Wreszcie zasadam tym przeciwstawił układy maoistyczne, piętnując niebezpieczny i zbrodniczy charakter organizacji SEATO, przy pomocy której imperialiści amerykańscy usiłują cofnąć wstecz koło historii. Premier Nehru w swoim przemówieniu stwierdził, iż zasada wybie-

rania takiego sposobu życia, jaki każdemu narodowi odpowiada, i niewtrącania się do spraw innego kraju jest jedyną zasadą, która może gwarantować pokojowe współistnienie narodów. Każde inne postępowanie grozi wojną. Nehru bezustannie podkreślał wolę pokoju, jaka ożywia naród indyjski. „Ale pokój to nie tylko brak wojny — stwierdził Nehru — to coś pozytywnego. To określona droga życia, sposób myślenia i postępowania“. Stosunki między Chinami i Indiami mogą być tego przykładem.

Następnego dnia, w sali hotelu Sin Dzac, w którym mieszkam, odbyło się przyjęcie wydane przez ambasadora hinduskiego. W przyjęciu, obok Panditha Nehru, wziął udział Mao Tse-tung.

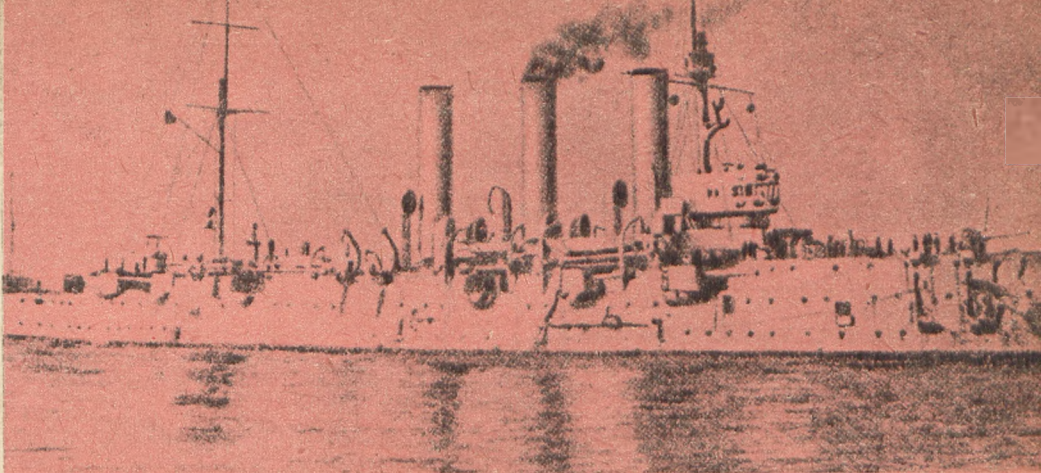
Każdego dnia swego pobytu w Pekinie Nehru miał tysiączne okazje przekonać się o woli pokoju ożywiającej naród chiński i o uczuciach Chińczyków wobec Indii. Zwiedzając Instytut Mniejszości Narodowych pod Pekinem widział konkretne przykłady polityki solidarności przebudowanych i po raz pierwszy naprawdę wolnych ludów Azji.

W sobotę 23 października, w parku ludowym im. Sun Jat-sena, obok historycznej bramy Tien An-Men, odbył się ogromny wiec mieszkańców Pekinu na cześć gościa — wysłannika przyjaźni 360 miln. Hindusów.

Po wiecu trudno mi było wyjść z rozśpiewanego parku. Jak okiem sięgnąć w zapadającym zmroku, między drzewami, na których gałęziach migotały niby niezwykle kwiaty kolorowe lampki, między kunsztownymi grotami, oświetlonymi blaskiem reflektorów — tańczą dorośli i młodzież. Grające orkiestry, tańczące pary w skromnych, granatowych drellichach, dziesiątki tysięcy ludzi tworzących kółka i grupy, tańczących rytmiczne chińskie tańce. Na zaimprovizowanych scenach wśród czarodziejskiego ogrodu aktorzy w barwnych, fantastycznych kostiumach odgrywają fragmenty ulubionych klasycznych oper, gdzie indziej teatryki kukielkowe, sztuki cyrkowe, gorąca herbata.

Błądząc w tym roztańczonym radosnym tłumie, pod olbrzymimi lampionami, w których blasku widzę uśmiechy na twarzach, i nie mogę się opędnąć zdumiewającej myśli, że takich ludzi jest 600 milionów. Odurzony jak we śnie chłonę tę radość wyzwolonej, świadomej siebie Azji.

NEHRU WYDANY W DNIU 20 PAŹDZIERNIKA PRZEZ CZOU EN-LAIA



STEFAN HERMLIN

Aurora

Gdy marzła z żołnierzami nadzieja
i wiatr listopada hulał,
głośniejszą przemówiła legenda
o Dzieciątku i o Trzech Królach.
Mówiono o mirrze i złocie
na wielkich cmentarzyskach,
a kto już przestał wierzyć,
ten wiarę nagle odzyskał.

Kiedy pokój nastanie,
kiedy Zbawiciel wyrośnie?
pytali ludzie. Lecz trzeba
rozumieć słowa przenośnie.
Wojna nadciąga z chmurami,
nad polem się blade kołysze,
muszą skakać sobie do gardła,
nim pokój przyniesie ciszę.

Z jednym, co wiedział więcej,
panowie obeszlą się srodze,
jeszcze tej nocy wisiał,
na słupie przy polnej drodze.
Ale chłopcy byli ciekawi,
czy z ziemi ustąpią dziedzice,
czy się coś zmieni w fabryce.

Żądano, by naprzód wojnę
wygrali. Odrzekli wtedy —
nie! bo okrzepnie przemoc
pańska nad karkiem biedy.
Promień rakiet spoczął na trupach,
przewiał chłodem po zasiekach,
Dzieciątka nie było, ni Królów,
tylko gwiazda widniała z daleka.

Chcieli głosować, czy wybiorą
wojnę i wspólny grób.
Pułki ciągnęły do domów,
głosząc stukotem nóg.
Księżyc lśnił na bagnietach,
błyskał na szablach jazdy.
Śpiewali. I na ich czapkach
wschodziły czerwone gwiazdy.

II

Tej nocy wiatr na zawsze powiał już w inną stronę,
legendsy starych ksiąg od nowa się czytało,
nic się ostać nie mogło, wszystko odmienione,
pierzchnął tajemnic mrok, niepojęte jasnym się stało.

Głodujący i zablakani o bolszewików pytali,
ludzie w kręgach polarnej zorzy i odziani w skóry panterze.
Przy opuszczonych mielerzach szeptało o nich. Z oddali,
Głosem jak kaskada donośnym, gwiazdę stawili pasterze.

Sny zmarłych, niespełnione, po miastach krążyły jak duchy,
gryziono wargi na śledztwie, ból dawny błyszczał w oku,
i rzeźił kaszel więźniów, pozakuwanych w tańcuchy,
i potok klęsk samotnych unosił rok po roku.

Dla tej jednej nocy napisano wszystką muzykę świata.
wszelką nową myśl poczęto dla tej godziny.
Każde serce miało ojczyznę. Kto samotny spotykał brata.
Dla tej jednej nocy dokonały się wszystkie czyny.

Niezapomniany ów wiek, co przemówił barykad zgłoską.
Glucho Aurory działa nowy wieściły ład.
Tej nocy mierzyć zaczęto świat miarą leninowską,
i przyszłość kreśliła na drzwiach: Cała władza dla Rad!

Gdzie władcy świata, spętani, niedawno siedzieli jeszcze,
tam, gdzie pokora się tliła ponuro w wyziębłym domu,
czyny i pieśni nagle poranek przejęły dreszczem,
i na dekretach gwiazda zapaliła się sownarkomu.

III

Każdy sobie pomnikiem
kroczy w żelazne dnie
przez kraj, w którym krążownik
jak jutrzeńka się zwie.

Z chłopem i z robotnikiem
szło zwycięstwo przez wiek,
rozbiła się fala wojny
dwakroć o czerwony brzeg.

Wzniosła się pięść listopada,
by kwitnąć mógł nowy maj.
Partia stoi na straży jutrzeńki,
która weszła nad kraj.

Przetłóżył: ANDRZEJ WIRTH

STRAJK DOKERÓW

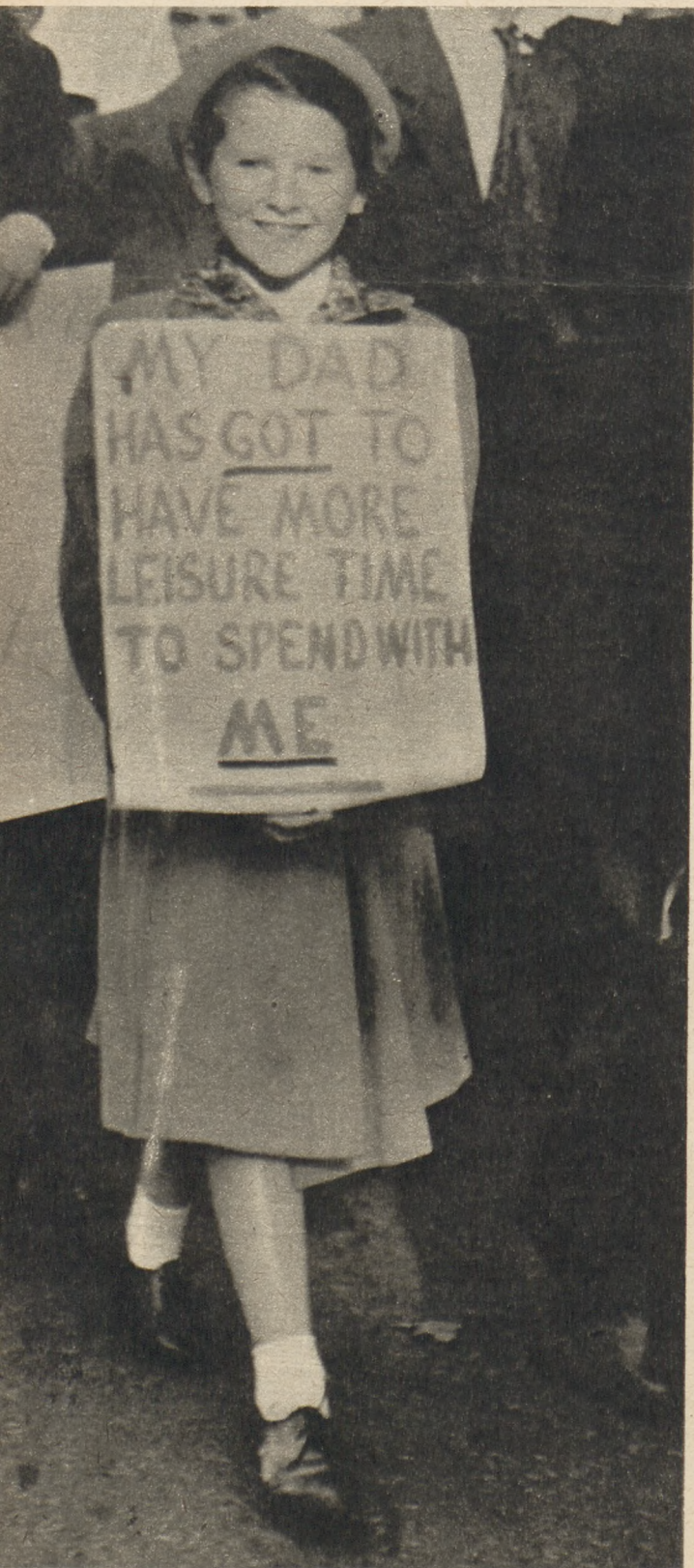
SAM RUSSELL

Korespondencja własna „Świata“ z Londynu

DNIA 4 października Związek Zawodowy Ładowaczy Okrętowych w Londynie dał hasło strajku i tego samego dnia siedem tysięcy dokerów porzuciło pracę. Z dniem każdym do strajkujących dokerów londyńskich przyłączali się ich koledzy z innych miast portowych Wielkiej Brytanii. Zamarił ruch w portach: Liverpool, Birkenhead, Manchester, Southampton, Garston i Rochester. Po kilku dniach zastrajkowali również robotnicy z doków reperacyjnych wzdłuż całego wybrzeża Tamizy. Z ogólnej liczby robotników doków brytyjskich, która wynosi 75.000, przeszło połowa, bo 45.000 osób rzuciło pracę. Ponad trzysta statków stało bez ruchu, paraliżując w ten sposób brytyjski eksport i import.

Strajk nie był dla nikogo niespodzianką. Już od dziesięciu miesięcy toczyła się walka pomiędzy ładowcami okrętowymi a przedsiębiorstwami. Związek wychodził z założenia, że praca ponad godziny powinna

Coreczka dokera, maszerująca poprzez ulice Londynu w czasie wielkiej manifestacji strajkowej.



być dobrowolna w tak ciężkim zawodzie. Na poparcie swojego żądania Związek już od dziesięciu miesięcy zakazał swoim członkom pracy w godzinach nadliczbowych. Przez cały ten czas przedsiębiorcy odmawiali wszelkich rokowań, żądając, by najpierw Związek odwołał zakaz. Zdecydowano więc, że jedynym wyjściem z takiego impasu jest strajk. Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej stanęły krany, zapanała niesamowita cisza wzdłuż brzegów Tamizy.

Na znak solidarności zastrajkowali na kilka dni również i kierowcy autobusów londyńskich. Jednakże poza solidarnością z dokerami, kierowcy autobusów mieli i inne powody do strajku. Jak przyznaje londyński „Times“ „zasadniczym powodem tego strajku jest fakt, iż kierowcy autobusów są nie tylko przepracowani, ale i marnie płatni“.

Liberalny tygodnik New Statesman and Nation pisze na ten temat: „Zarówno strajk dokerów, jak i strajk kierowców autobusów mają to samo podłoże. Robotnicy nie chcą, i to słusznie, pracować przymusowo w godzinach nadliczbowych. Zarówno dokerzy, jak i kierowcy czują, że jest to metoda stosowana z całą świadomością przez przedsiębiorców, metoda, przy pomocy której zatrudnia się ograniczoną liczbę robotników pozbawiając ich czasu na odpoczynek, tak ważny dla ich zdrowia i wydajności przy tego rodzaju pracy“.

Zjawisko przepracowania, pracy ponad siły, jest zjawiskiem nagminnym we wszystkich niemal zawodach i wcale nie ogranicza się do dokerów i kierowców. Robotnicy w coraz liczniejszych zawodach muszą pracować długie nadgodziny, by pokryć wciąż rosnące koszty utrzymania. Drożej z miesiąca na miesiąc żywność, opał, światło, komorne, nie mówiąc już o odzieży.

Teoretycznie istnieje w Anglii czterdziestogodzinny tydzień pracy. Miała to być największa zdobycz angielskiej klasy robotniczej, wywalczona przez długie lata zmagani i strajków. Jednakże, jak wynika z oficjalnych danych opublikowanych ostatnio przez Ministerstwo Pracy, nie tylko czterdziestogodzinny tydzień pracy, ale 44 czy 46-ciogodzinny tydzień roboty jest muzyką przeszłości.

W transporcie i komunikacji tydzień roboczy wynosi 50,1 godzin. W przemyśle budowlanym 49,1 godzin, w przemyśle żywnościowym 49 godzin.

Toteż strajk dokerów był niesłychanie ważnym wydarzeniem w życiu każdego brytyjskiego robotnika i pracownika. Śledzili go bacznie górnicy i inżynierowie, kolejarze i budowlani i hojnie dawali na fundusz strajkowy.

Jeden ze strajkujących robotników w liście opublikowanym w dzienniku „News Chronicle“ bardzo jasno precyzuje stanowisko swoje i kolegów. Nazwisko tego dokera brzmi Ernest Burton i pracuje on w Bermondsey, w samym sercu Południowego Londynu.

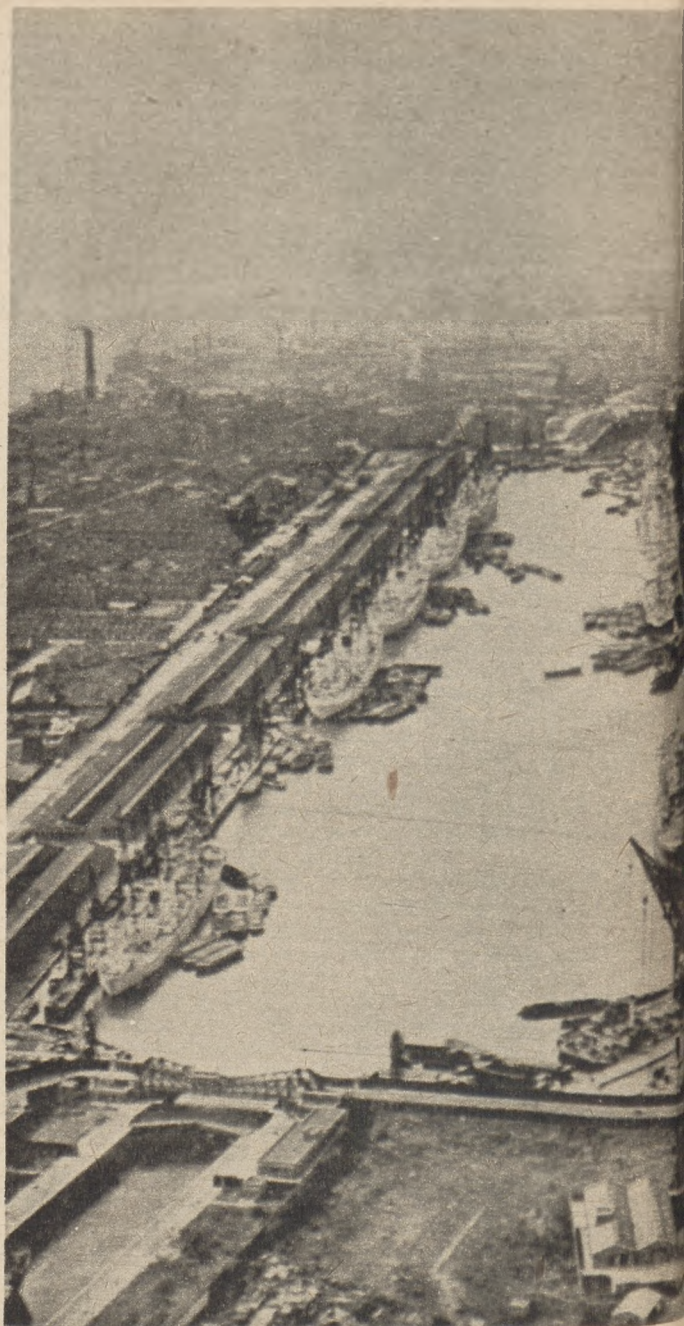
„Jestem ładowcem okrętowym — pisze Burton — obecnie strajkuje i wydaje mi się, że prasa niedostatecznie jasno przedstawiła punkt widzenia prostego dokera.“

Mam lat 43 i od 25 lat pracuję w dokach. Wydało mi się, że jeżeli człowiek uczciwie napracował się do godziny piętej po południu, to sam powinien móc zdecydować, czy nadaje się do dalszej pracy czy też nie. Co oznacza dla mnie praca nadliczbowa? Po prostu to, że po ośmiu godzinach ładowania drzewa na statek muszę pracować w ten sam sposób jeszcze dwie godziny.

W praktyce oznacza to dziesięciogodzinny dzień pracy. Jeżeli statek rusza dopiero z wieczornym przypływem praca może przeciągnąć się do późnej godziny. Nie mam w zasadzie nic przeciwko takiej pracy. Jestem jednak przeciwny temu, że jeżeli nie zgodzę się na pracę nadliczbową — którą każą nam często wykonywać przez wiele nocy z rzędu — to czeka mnie akcja dyscyplinarna ze strony Urzędu Pracy. A akcja dyscyplinarna oznacza zawieszenie w pracy bez płacy przez trzy do siedmiu dni. Przedsiębiorcy mogą otrzymać od nas tyle nadliczbowych godzin, ile im trzeba, pod warunkiem jednak, że praca taka będzie pracą dobrowolną a nie przymusową. Wiem dobrze, jak wielki jest wysiłek fizyczny tragarza dokowego. Wraca się wieczorem do domu ze zbolalymi kończynami, ciałem pokrytym potem. Człowiek jest dosłownie do niczego.

Ludzie często mówią o wysokich zarobkach dokerów. Jednakże nasza płaca podstawowa wynosi zaledwie 6 funtów i 12 szylingów. Wraz z godzinami nadliczbowymi wyciągamy najwyżej 11 funtów tygodniowo“.

List ten jest głosem przeciętnego dokera. Echo tego listu rozbrzmiewało codziennie na licznych zebraniach, w Liverpoolu, Southamptonie, Manchesterze czy Londynie.



Zamarił ruch w portach Liverpool, Birkenhead, Manchester, Southampton, Garston i Rochester. Port Londynu.

W swej walce dokerzy brytyjscy nie byli sami. Mieli za sobą całą angielską klasę robotniczą, a wielka fala solidarności robotniczej docierała do nich ze wszystkich stron świata.

Wspaniale zachowały się kobiety. Bez szemrania przyjęły perspektywę długich tygodni bez płacy. Brały udział we wszystkich demonstracjach i zgromadzeniach, wykazując w ten sposób przedsiębiorcom, że każdy strajkujący ma nie tylko poparcie wśród towarzyszy pracy, lecz, że w domu, wśród rodziny znajduje pełne uznanie i szacunek dla swojej walki.

Jako przykład weźmy Katarzynę Waters ze Stanley Street z dzielnicy londyńskiej West Ham. Zarówno jej mąż, jak trzej synowie i zięć strajkują. Trzeba wyżywić wielką rodzinę, a od tygodni nie wpływa do domu ani jeden grosz.

— Nasi chłopcy głodować nie będą — powiedziała nam — jeżeli zbraknie chleba pójdę do sąsiadów, a jak im zabraknie, to przyjdą do nas. Jakoś sobie poradzimy.

Siostra siedmiu strajkujących braci, pani McDonnell, opowiada swej sąsiadce o przebiegu akcji strajkowej.





dyński na Tamizie też przestał funkcjonować (na zdjęciu). Sparaliżowało to brytyjski import i export.

A pani McDonnell, jej sąsiadka, dodała: — Moja rodzina pracuje w dokach od przeszło stu lat. Mam siedmiu braci, którzy biorą udział w strajku. Wolę sprzedać wszystko co mamy w domu, niż pozwolić, by wygrali przedsiębiorcy. Z trudem zdobyło się tych parę gratów i nie chciałby się człowiek rozstać z tym co posiada. Ale trudno, trzeba pomagać naszym chłopakom. Na naszej ulicy wszystkie kobiety tak uważają.

Taka była atmosfera w krainie doków przez wszystkie tygodnie strajku. Dokerzy angielscy raz jeszcze pokazali brytyjskiej klasie rządzącej i całemu światu, iż są godnymi synami owych dokerów, którzy pod koniec dziewiętnastego wieku prowadzili całą angielską klasę robotniczą do walki o związki zawodowe, o lepsze warunki bytu i którzy, w obliczu zaciętej opozycji ze strony przedsiębiorców, walkę tę wygrali.

I podobnie jak wówczas tak i teraz, wobec nieugiętej postawy dokerów, wobec milionowych strat i unieruchomienia transportu, przedsiębiorcy musieli ustąpić. Dokerzy angielscy strajk wygrali.

W Hyde Parku, tradycyjnym miejscu londyńskich wielkich zebrań politycznych, zebrał się tym razem dokerzy i ładowacze portu londyńskiego. Kilka tysięcy osób słuchało przemówień przywódców strajku. Dokerzy nie zawiedli kierowników swego Związku. Jednogłośnie postanowili oni walczyć aż do ostatecznego zwycięstwa



Bill Lindley, sekretarz generalny Związku Ładowaczy Portowych, był jednym z przywódców wielkiego strajku.



Wspaniałą postawę okazały w czasie strajku kobiety. Na zdjęciu: 60-letnia żona starego dokera, Chilversa.



Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej stanęły krany, zapanowała absolutna cisza wzdłuż brzegów Tamizy. Ulicami Londynu, Birkenhead i innych miast maszerowali dokerzy, wysuwając zdecydowane żądania.





Autor korespondencji, pisarz radziecki Lew Uspieski, był uczestnikiem powstania zbrojnego w Piotrogradzie w październiku 1917 roku i brał udział w historycznym szturmie na Pałac Zimowy

KOESPONDENCJA
WŁASNA „ŚWIATA”
Z LENINGRADU

STĄD WY REWOLUCJA

PISZĘ te słowa w Leningradzie, w pokoju, którego okna wychodzą na rozlewną, wspioną od morskiego wiatru Nowę. Pomiedzy licznymi odnogami jej ujścia leży Leningrad — miasto, skąd rozpoczęła swój zwycięski pochód Wielka Październikowa Rewolucja Socjalistyczna.

Naprzeciwko domu, w którym mieszkam, wmurowana została tablica pamiątkowa: „W tym miejscu przed 37 laty, przy brzegu Newy, zarzucił kotwicę słynny krążownik „Aurora“, dzierżący banderę rewolucyjnej floty”.

W nocy z 7 na 8 listopada roku 1917 rozległa się salwa dział pokładowych „Aurory“ — był to sygnał wybuchu powstania.

Do szturm na Pałac Zimowy, siedzibę carów Rosji, ruszyli uzbrojeni miejscowi robotnicy, marynarze Floty Bałtyckiej, żołnierze stacjonowanych w Piotrogradzie pułków piechoty.

Echo salwy z „Aurory“ rozległo się daleko poza granicami stolicy, przewaliło się poprzez place i ulice wielu innych miast, poprzez niezmierzone przestrzenie całego kraju, wzywając lud pracujący do stoczenia wielkiej bitwy w obronie swych praw. Skończyły się dzieje Rosji burżuazyjno-obszarniczej — rozpoczęła się historia Związku Radzieckiego, pierwszego na świecie państwa socjalistycznego.

U steru rewolucji stał Włodzimierz Iljicz Lenin. Na jesieni roku 1917 Lenin doszedł do przekonania, iż nadeszła chwila przełomowa i dalsze zwlekanie byłoby zbrodnią. Przed rewolucją, rozpoczętą w lutym, otwierały się dwie ewentualności: albo zostanie ona zdławiona, albo uczyni krok naprzód i zwycięży. Tym decydującym krokiem powinno być powstanie przeciwko tymczasowemu, burżuazyjnemu rządowi.

Lenin zdawał sobie sprawę z tego, że istniały już wszystkie niezbędne warunki, mogące zapewnić powodzenie temu powstaniu. Po stronie Partii Komunistycznej stały wielomilionowe masy, ożywione pewnością, iż pod jej przewodnictwem zdołają wywalczyć pokój, wolność i ziemię.

Zagadnieniem pierwszorzędnej doniosłości było rozpoczęcie powstania w odpowiedniej chwili, wybranie właściwego momentu, kiedy pozycje zajmowane przez wroga ulegną osłabieniu, a wrzenie rewolucyjne w masach osiągnie kulminacyjny punkt...

Bieg wydarzeń potwierdził wkrótce, iż moment natarcia został prawidłowo wybrany.

* * *

Od owych dni minęło trzydzieści siedem lat, a przecież pamiętam tę noc tak dokładnie, jak gdybym przeżywał ją zaledwie przed paru dniami.

Wieczorem siódmego listopada szedłem z karabinem na ramieniu wzdłuż wybrzeża jednego z licznych kanałów, przecinających Piotrogród. Zapadał coraz bardziej gęsty mrok. Blask latarń zaledwie przebijał przez mroźną mgłę. W mieście panował trwożny nastrój. Ulicami maszerowały oddziały uzbrojonych robotników, terkotały działa i wozy, podążały dokądś kompanie żołnierzy. Wszystko świadczyło o tym, że coś się szykuje. Uzbrojeni ludzie zmierzali do centrum miasta, gdzie piętrzyły się ogromne gmachy Pałacu Zimowego. Tam ukrył się w owych dniach Rząd Tymczasowy z Kiereńskim na czele, broniony przez wychowanków szkół oficerskich i szturmowe bataliony białogwardystów.

...W wodzie kanału, wzdłuż którego szedłem, odbijały się nieliczne światła. Na słupie ogłoszeniowym przede mną zobaczyłem oświetloną tarczę zegara: wskazówka zbliżała się do cyfry „9“. W chwili, kiedy nakryła ją dłuższa wskazówka, wskazująca minuty, wszystko dookoła zatrzęsło się od potężnego huku. W chwilę potem w pobliżu mnie rozległy się strzały karabinowe, głośno zatrajkotał karabin maszynowy. po chwili następnej...

Sciskając w rękach karabin, pobiegłem w kierunku Pałacu Zimowego, nad którym unosiła się zmętniała luna i skąd dolatywały odgłosy ożywionej strzelaniny.

Miałem wtedy siedemnaście lat. Rzecz prosta, nie zdawałem sobie wtedy sprawy, że cto w tej właśnie chwili rozpoczyna się nowa era w historii świata.

Przyłączyłem się do tych, którzy szli zdobyć szturm Pałac Zimowy, gdyż zarówno w tym pałacu, jak

i w ludziach, którzy zamieszkiwali w tych wspianych salach, dopatrywałem się źródła wszystkich nieszczęść. jakie spadały na lud rosyjski.

Lenin lubił powoływać się na słowa Marksa „o sztuce powstania“ i sam znakomicie opanował tę niezmiernie skomplikowaną sztukę. Umiejętnie rozlokował siły do błyskawicznego natarcia i kiedy nad Piotrogradem zaświtał ranek Pałac Zimowy był już zdobyty; dworce kolejowe, telegraf, poczta oraz gmachy ministerstw jeszcze poprzedniego dnia znalazły się w rękach powstańców. Najważniejsze punkty w mieście zostały obsadzone przez posterunki rewolucyjne. Obradujący w Smolnym Zjazd Rad ogłosił pierwsze dekrety: o pokoju, o nadaniu ziemi i o utworzeniu pierwszego Rządu Radzieckiego. Ministrowie rządu tymczasowego zostali aresztowani — Kiereński uciekł z Piotrogradu.

W oibryzmim budynku Pałacu Zimowego, zajęтым przez oddziały powstańcze, znajdowały się niezliczone skarby, w ciągu stuleci nagromadzone przez carów

Rosji. Napowietrzna galeryjka łączyła pałac z Ermitażem, jedną z największych galerii sztuki na świecie...

Owej nocy brzemiennej w wydarzenia w którejś z sal Ermitażu błyszczwały łagodnie oczy Madonny Leonarda da Vinci, w innej z mrocznego tła wyzierały pełne życia i skupienia portrety malowane przez Rembrandta, w dolnych salach galerii lśniły bezcenne złote naczynia i ozdoby, które zawędrowały tu z sarkofagów scytyjskich, z Indii czy Egiptu...

Całą noc przez sale Ermitażu przewalały się tłumy uzbrojonego ludu. Żołnierze spali na wspianych posadzkach, marynarze opasani wstęgami nabożów do karabinów maszynowych przegryzali coś na stopniach tronu carskiego, ozdobionego drogimi kamieniami — ale ani jeden ze skarbów Pałacu czy też galerii nie został wyniesiony. Od tej bowiem chwili wszystko to stało się nietykalną własnością ludu.

* * *

Piotrogród był wtedy stolicą państwa. Wzniesiony tu płomień rewolucji niezwłocznie ogarnął całą Rosję.



RUSZYŁA REWOLUCJA

na było znaleźć więcej marmurowych posągów aniżeli żywych ludzi — i tuż: tonące w błocie, spowite w dymy fabryczne przedmieścia o pochylonych, drewnianych domkach i poniszczonych, starych chodnikach, ułożonych z kłoców, wzdłuż cuchnących rynsztoków.

Oto obraz przedrewolucyjnego Piotrogradu.

W ciągu minionych trzydziestu siedmiu lat dokonały się tu doniosłe przeobrażenia. Odwiedźcie teraz Leningrad, pospacerujcie jego ulicami, wstąpcie do muzeów, fabryk i gościnnych mieszkań leningradczyków, a to, co mówiłem o przeszłości tego miasta, wyda Wam się koszmarną opowieścią.

Leningrad jest również i dziś dumny ze swoich dzielnic w centrum miasta, ale nie stanowią one już tak rażącego kontrastu w zestawieniu z przedmieściami, gdzie w ubiegłych latach stały wielkie, nowoczesne bloki mieszkalne, gmachy publiczne i instytucje kulturalne, gdzie powstały wspaniałe zespoły architektoniczne.

Sprawa zlikwidowania straszliwych warunków mieszkaniowych na krańcach miasta została uregulowana natychmiast po Rewolucji. Przeszło trzyście tysięcy mieszkańców przesiedlono niezwłocznie z wilgotnych suterren i poniszczonych pomieszczeń do prywatnych pałaców i wielopiętrowych kamienic w śródmieściu. Następnie podjęta została ofensywa na dalsze przedmieścia. Do roku 1941 zbudowano przeszło 2,7 miliona metrów kwadratowych nowych izb mieszkalnych. Szerokie, asfaltowe ulice połączyły śródmieście z odległymi dzielnicami.

Pałace i wille prywatne, stanowiące dziś własność narodu, służą celom naukowym i kulturalnym. Kogóż to nie spotka się dziś we wspaniałych salach Pałacu Zimowego? Przychodzi tu i robotnik-metalowiec, i murarz z nowobudującego się domu, i młoda tkaczka, i tragarz portowy — zdążają tu tysiące prostych ludzi pracy. Nie przychodzą tu bynajmniej przypadkowo. Są to ludzie nowego, radzieckiego pokroju — żywią głębokie zainteresowanie do najróżniejszych dziedzin życia i jednych pociąga sztuka i literatura, innych — ostatnie zdobycze techniki, historia, czy obecne dzieje innych narodów.

Miasto Lenina w przeciągu panowania władzy radzieckiej przekształciło się w olbrzymie centrum przemysłu, jest drugim po Moskwie ośrodkiem budowy maszyn i obróbki metali. Przed wojną toczoną z faszystym hitlerowskim robotnicy Leningradu produkowali więcej, aniżeli cała Rosja carska w 1913 r., a w

roku 1951 produkcja Leningradu półtora raza przewyższała przedwojenną!

Leningrad jest poważnym ośrodkiem radzieckiej kultury. Dziesiątki muzeów, wspaniałe teatry, w tej liczbie słynny Teatr Opery i Baletu im. Kirowa, przeszło półtora tysiąca bibliotek, liczne kluby, pałace kultury, bardzo dawne oraz powstałe za czasów radzieckich wyższe zakłady naukowe, jedno z najlepszych atelier filmowych w Związku Radzieckim — oto zaledwie w ogólnych zarysach oblicze kulturalne tego miasta.

Podczas wielkiej wojny narodowej Leningrad otrzymał miano „Miasta-Bohatera“ za to, że w ciągu 900 dni niezmiennie ciężkiej blokady odważnie stawił opór wrogowi.

Mieszkańcy Leningradu uroczystie świętują rocznicę Październikową.

W przededniu, w godzinach nocnych, podnosi się mosty zwodzone. Nową płyną ogromne, smukłe okręty Floty Bałtyckiej, zakotwiczone przed rzeźbiście oświetlonym Pałacem Zimowym i olbrzymim Soborem św. Izaaka. Okręty stoją w uroczystym milczeniu, jak gdyby przysłuchując się wesołemu rozgwarowi pochodu, dolatującemu z placu Pałacowego ku rzece.

Wieczorem w dniu święta Rewolucji bulwary nadbrzeżne wypełnia wielotysięczny tłum. Robotnicy z siwymi wąsami, weterani Rewolucji, przychodzą tu, by jeszcze raz spojrzeć na dobrze znane im kontury „Aurory“. Okryty sławą krążownik, zamieniony obecnie na pomnik, kołysze się na falach. Młodzież przygląda mu się z ogromnym zainteresowaniem — urodziła się i wychowała w wolnym kraju, radzieccy młodzieńcy i dziewczęta nie wiedzą, co to ucisk, czym jest straszliwe panowanie człowieka nad człowiekiem, jakie rodzi zło.

Spokojni i szczęśliwi spacerują wzdłuż Newy... Marynarze zeszli ze swych statków i oto tańczą z dziewczętami na lśniącem, wilgotnym asfalcie. Przybywają tu całe rodziny mieszkańców Leningradu, by asystować przy uroczystej chwili, kiedy rozlegnie się salwa na cześć święta Rewolucji.

Oto nadeszła. Nad dawną twierdzą Pietropawłowską wlatują rakiety, grzmia salwy dział okrętowych, rozlegają się dźwięki muzyki. Na masztach statków rozpalają się girlandy żarówek, rozbłyskują reflektory. W ich blasku z mroku wynurzają się hasła, widniejące na czerwonych transparentach: „Niech żyje Rewolucja Październikowa!“, „Niech żyje pokój na całym świecie!“

Uparcie broniły się siły przeszłości, stawiały opór w Moskwie, na rubieżach zachodnich, w Syberii i Azji Środkowej. Nie bacząc jednak na zacięty opór tych sił, pomimo pomocy, jaką otrzymywały z zewnątrz, Rosja stała się państwem Rad.

Po śmierci Włodzimierza Iljicza Piotrogród, kolebka Rewolucji, został przemieniony na Leningrad.

Ale dawna stolica zmieniła nie tylko swoją nazwę: w ciągu lat panowania władzy radzieckiej radykalnej zmianie uległo również oblicze miasta. My, ludzie starszego pokolenia, których życie rozpoczęło się w dawnym ustroju, widzimy to szczególnie dobitnie.

Przedrewolucyjny Piotrogród był takim samym wstrząsającym nagromadzeniem kontrastów, jakie po dzień dzisiejszy możemy obserwować w wielu dużych miastach krajów kapitalistycznych.

Centrum dawnego Piotrogradu znane było ze swej wyjątkowej piękności, posiadało wspaniałe nadbrzeżne bulwary, piękne pałace, z których każdy był arcydziełem architektury, wspaniałe, cieniste parki, gdzie moż-





W tym ceglany domku mieszkali przed 15 laty polscy jeńcy. Wielu przetrwało, wielu, jak Sulimę (drugi od prawej), zamordowało gestapo.

1.

W PAŹDZIERNIKU my tu już byli... — wydukał po dłuższej chwili mój rozmówca i więcej już nie chciał, a może nie potrafił powiedzieć. W oczach ciągle miał jakieś cienie nieufne, zdawało mi się, że wrogie. Inna rzecz, że ludzie tu są podejrzliwi; granica opodał, pociągami za godzinę dojedziesz. Z drugiej strony reporter zadawał niezwykłe pytania. Bywali tu różni, pytali o skup, o świetlice, kontraktację, opisywali i brali wypowiedzi na rocznice.

Staliśmy w samym środku wsi — jakby w rynku, na którym objęty kamiennym cokołem rośnie kościół cały z czerwonej, licowanej cegły. Domy trochę miejskie, piętrowe, inne — jak powiadają przyodrzani chłopcy — niż „u nas, w centrali...”

— Więc jak będzie? — podgadywał reporter.

Wtedy zjawiał się sołtys, prowadzony za rękę przez usmoloną dziewczuszkę, którą przed godziną rozpytywałem o ojca. Mężczyzna był postawny, energiczny, bo z miejsca zapytał:

— A wy kto za jedni? I co wam?

Gdy uważnie sprawdził fotografię i podpisy w legitymacji, uśmiechnął się niby przepaszając za cały ten ambarras i milczenie towarzyszy.

— Różni się tu mogą kręcić. Sami wiecie, jak to jest... Nie dalej jak do tygodnia w redlańskim erzetesie ktoś

stodołę podpalił... Zgorzała do polepy, ot co...

Teraz porzucili nieufność, ujęli reportera za łokieć, podprowadzili na drożkę między topole i kościół.

O Franzu Dinovie nie słyszał. Ani która to jego chałupa też nie wie. „Ja jestem z czterdziestego szóstego; Niemców już wtedy nie było, proszę was, towarzyszu...” I wreszcie powiedział, że może ksiądz proboszcz, bo jakby nie było ksiądz parafię zna, ludzi chrzci i żeni... Odprowadził nas aż pod sam kościół okolony pomnikami grobów i ręką pokazał na plebanie — zielony domek wśród topól.

Proboszcz również był zaskoczony pytaniem; nie pytał wprawdzie o legitymację, lecz po gospodarsku poczęstował winem i przy kieliszkach zastanawiał się nad nazwiskami.

— Mam tu jednego w parafii — powiedział niespodziewanie — spółdzielca, a także stary mieszkaniak Jamikowa... On panom na pewno będzie mógł dać wskazówki w tej sprawie...

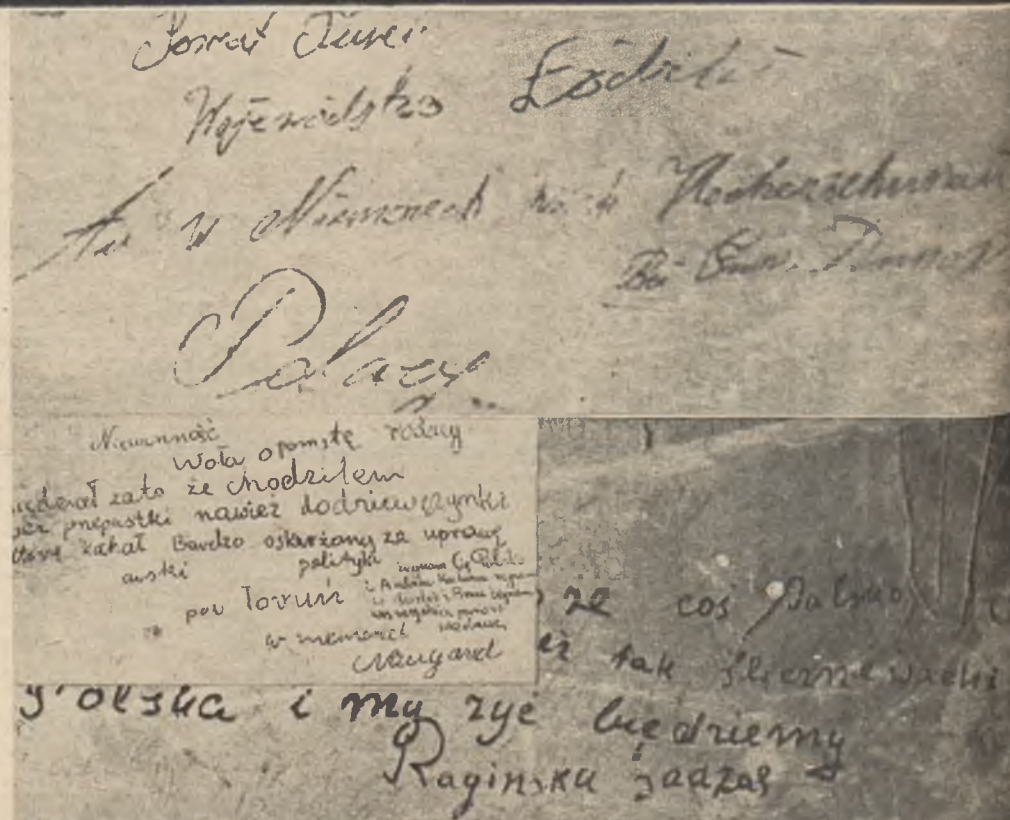
Tak oto odnaleźliśmy Edwarda Semeniuka i drugie ogniwo w historii, którą zamierzamy opowiedzieć.

Semeniuk rzeczywiście znał Jamikowo doskonale jeszcze z czasów, gdy nazywało się Hohenschönau. We wrześniu roku 1939 ułan Edward Semeniuk usiłował przebić się przez pancerny kordon hitlerowskich czołgów i dostał się do niewoli. Sześć lat spędził w Hohenschönau, w tym właśnie Jamikowie; w nocy — za kratami, czerwonego bu-

Semeniuk i Kaźmierczak, jeńcy z 1939 roku, oglądają więzienie w Jamikowie. Tu przed piętnastu laty znęcali się nad nimi hitlerowscy oprawcy.



ZA KRAJDZIEŻ KROMKI CHLEBA...



Ciemne piwniczne mury kryły w sobie tragedię zamordowanych bestialsko Polaków. Pozostały wyrzute niewprawną ręką napisy, ostatnie słowa skazanych.

dynku, stojącego na skraju wsi, w dzień zaś na polach bauerki Anny Zaster. W Jamikowie zna każdy zagon, każdą stodołę i każdą ścieżkę. I dom Dinova pokaże i...

— A o którego wam chodzi, bo było dwóch, czy nie o tego, co miał syna w lotnictwie i co go Amerykanie trzepnęli...?

— O Franza.

— A, o Franza... To właśnie tu...

Przed domem, długim, jednopiętrowym domem, gmera garścią w brzęczącym ulu stareńki gospodarz. Po powitaniu wypowiada swoje nazwisko w jakiejś urzędowej formie: „Emilianowicz Wiktor...” i zaraz pyta: „Czy przypadkiem nie w sprawie remontów, bo u mnie akuratnie dach zacieka, stara chałupa...”

Nie, nie w sprawie remontów... Stoiśmy w byłym obejściu „grossbauera”, po polsku — kułaka — Franza Dinova, w którym aktualnie i już na zawsze gospodaruje jamikowski spółdzielca — Wiktor Emilianowicz. Stoiśmy i milczymy, a Semeniuk przygląda nam się coraz bardziej nieufnie i wreszcie nie wytrzymuje:

— A po co wam ta chałupa...?

Właściwie należałoby od początku, tak jak to czynią historycy: data po dacie, fakt po fakcie, aż ułożyłyby się tragiczny obraz chłopskich dzieł w Przyodrze, dokument, budowa zabytkowa z ciężkiego, niczym grabarskiego kamienia zbudowana. Ale reporter nie jest historykiem. W dniu dzisiejszym jest tylko zwiadowcą, szperaczem i kronikarzem wydarzeń bieżącej go-dziny.

Być może, że wystarczyłaby tylko fotografia czworga Semeniuków, siedzących na tle uchylonego okna w jamikowskim domu. Fotografia, z której przegląda życie.

Ale czy można zrozumieć dzisiejsze życie Semeniuków, jeśli się nie zajrzy do historycznych dokumentów?

2.

Zdarzyło się, że wracając niedawno z rybackiej bazy na zachodnim wybrze-

żu musieliśmy zatrzymać się w nocy w pomorskim miasteczku. Nowogard — bo tak się zwało miasteczko — w świetle samochodowych reflektorów wyglądał jak dekoracja do klasycznej tragedii: mury z pustymi oczodołami okien, kikuty drzew nie wiadomo od wichru czy pocisków poszarpane i pusty kamienny plac.

Wtedy to, szukając jakiejś żywej duszy w ogromnym gmachu PRN, odkryliśmy owe podziemia. „Podziemia” — być może za wiele powiedziane. Właściwie były to trzy piwnice, do których prowadziło wejście wprost z podwórza. Żelazne kraty zastępowały drzwi i odemknęły się z więziennym zgrzytem. Poświeciłem kieszonkową lampką i wówczas ujrzeliśmy te napisy. Napisy na tynkowanych ścianach. Dołem ścian szedł olejny pas, jaki zwykle kładą malarze w pomieszczeniach przeznaczonych dla wielu ludzi. Napisy były różne: jedne wydrapane w tynku, inne skreślone ołówkiem. Zachowały się świetnie, choć doprawdy nie mogę powiedzieć, ile dokładnie czasu minęło od owych dni grozy, gdy przebywali tu autorzy napisów.

Jeden z napisów, zajmujący niemal połowę szerokości ściany pod okratowanym okienkiem, brzmiał następująco:

„Polocy, jeszcze ześmy nie zginęli i hiba zginąć nie możemy. Przyjdzie czas i dzień to z procetem odbijemy. Tutaj siedziałem z żoną i 5 Miesięczne maleństwo też siedzi i za co. Cierpiemy ześmy wzięli koszule Bałorom, bo już nie było w czym chodzić tak ześmy się dorobili na niemieckim klebie. Maria Jacek, Józef Jacek i nasz synek malutki. Kto tutaj będzie siedział i będzie mug Niech pilsze i teraz i po wojnie do nasy rodziców Kolonia Marjanów Powiat Turek województwo Łódzkie Tu w Niemczech Hohenschönau bei Franz Dinov”.

Wyjeżdżaliśmy z miasteczka mając w oczach ten jeden z dokumentów polskiego dramatu w Przyodrze.

O nowogardzkim więzieniu w podziemiach Polizeipräsidium wiedzieliśmy



Nie załamaj wiary Jadzi Ragińskiej pooyt w ponurej celi Nr 3. Wśród kilkuset napisów odnaleźć można kreślone jej ręką słowa „Polska i my żyć będziemy“.

już niemal wszystko; w tutejszym gesie pracował człowiek, który był ongi więźniem podziemia. Opowiadał nam o sprawach sprzed kilkunastu lat, trochę nawet pozując do reportażu.

Był tu Polizeianwärter, niejaki Els. Miał wypróbowaną metodę bicia: nim aresztowany przekroczył próg ciemności, Els zwał człowieka jednym uderzeniem gumowego knypła na ziemię i bił tak długo, aż człowiek przestawał krzyczeć. Polizeianwärter Els bardzo szybko awansował na wachmistrza i z czasem stał się prawą ręką samego oberleutnanta Jörna, szefa nowogardzkiego prezydium policji. Els był duży i flegmatyczny. Jörn natomiast jakiś wyschły i lubił sobie po nocnych badaniach nad ranem wypić. Burmistrz Nowogardu, dr von Blankenburg (spotkaliśmy się z nim i jego rodziną nieraz jeszcze w naszych wędrówkach), bardzo był zadowolony z obu policjantów, tym bardziej, że żandarm Pawelski z Landespolizei zupełnie nie potrafił się uporać z Polakami po wioskach. Co rano, o szóstej, przyjeżdżało ze Szczecina gestapo i zabierało „szczególnie podejrzanych“ towarowym wagonem. Często po takich wizytach w parę dni później na ulicach miast i na ścianach wioskowych piwiarni można było wyczytać w „Bekanntmachung“, że taki to a taki został „na podstawie zarządzeń karnych Rzeszy dla Polaków skazany na karę śmierci...“

Jeśli III Rzesza była odrutowanym obozem dla dziesiątków milionów ludzi, to Pomorze było bunkrem dla Polaków. Na ulicach Warszawy i we wsiach nad Wisłą nie mówiło się inaczej jak: „wywózka do Prus“. Prusy — to były Mazury i Pomorze. Zielone budy żandarmerii polowały na bezbronną ludź, czerwone zakratowane wagony wiozły ich do przejściowych obozów.

Pszemno-buraczane pola Pomorza uprawiał poganiany knutem polski chłop. W Jamikowie na 20 niemieckich gospodarzy pracowało 123 Polaków. Jeńców z września zamykano w czerwonym, znanym nam już, budynku.

Jednego z nich, Stanisława Sulimę, zabrala „Abwehra“. Przysłał trzy listy z obozu koncentracyjnego. Potem umilkł i Edward Semeniuk po dziś dzień nie wie, co się stało z jego szwadronowym kolegą. W tej oto chałupie, u sto pięćdziesięciohektarowego bauera Franza Dinova, zginęła pewnego dnia kosa. Następnego ranka po dwoje niewolników Dinova — małżeństwo Jacków — przyjechali cywile. Jacków prowadzono przez wieś; ona niosła okutanego w chustkę pięciomiesięcznego chłopczyka.

— I od tej chwili jużemy ich nigdy nie widzieli więcej — wspomina na progu chaty Emilianowicza Edward Semeniuk, a potem pyta:

— Co się mogło z nimi stać...?

Tragiczne jest to pytanie. Zadawaliśmy je sobie po stokroć razy w nowogardzkiej celi. Co się stało z Karlem Bente, który wołał: „Oj Polacy, bydzimy cierpliwi może to na nich przyjdzie to my się jem za to odwiedzimy“? Jaki los spotkał Zofię Bartoszek, skarżącą się w podziemiach nowogardzkich, że „siedzi tu za chleb, bo byłam głodna i wzięłam chleb od Frydrycha Gerharda z Kareyk koło Naugard“.

Pytanie: „co z nimi...“ dręczyło nas przez długie tygodnie. Szperaliśmy po wioskach, rozpytywaliśmy o nazwiska wyskrobane w tamtej celi, jak by można było zliczyć dokładnie ofiary ostatniej wojny.

3.

Siedzimy w izbie u Krzywiaka, zmierzch już wchodzi na szyby, przeciska się do środka i pokrywa sprzęty jakąś szarą mgiełką. Ze ściany białą plamą wybija się fotografia Krzywiaka w ciemnej ramce domowej roboty. Właściwie to jest wycinek z ilustrowanego pisma. Krzywiaka sfotografowano w mundurze wysoko podpiętym pod szyję, z Krzyżem Zasługi na piersi, i wyglądałby bardzo uroczyście, gdyby nie pyzaty Edzio, siedzący na ojcowych kolnach. Krzywiak mówi:

— ...więc jechaliśmy transportami z dobytkiem, co kto miał. Sami wiecie, że fernalscy niewiele tego mieli. Jedna bieda z nędzą, bo wojna zniszczyła do reszty. Czasy były niespokojne: bandy tu chodziły przeważnie esesowców, co w lasach się pochowały... Nieraz w środku nocy, patrzę łuna, gdzieś się wiadać pali. Tak, proszę ja was, z karabinem za pługiem w pierwszą jesienną orkę chodziłem... Ani pomocy, ani powiatu i do sąsiada nieraz było

daleko... W pojedynkę człowiek straszał...

Przerwał, bo izba wypełniła się nagle gwarem dzieciaków. Krzywiak ma ich siedmioro; najstarsze urodziło się w ostatnim roku wojny, a w pierwszym roku chłopskiej wolności.

Z Krzywiakowych słów układał się powoli — jak kolorowa mozaika — obraz dziewięciu ostatnich lat. Jak to zjeżdżali w Nowogardzkę — bywało furami, bywało pieszo — dobierali chałupy, obejmowali ziemię, zwróconą Polsce. Co zdanie wtrącał: „...ja bezrolny chłop z majątku dziedzica w Boczkach jestem dziś spółdzielcą w Karsku“ — jakby te słowa miały jeszcze raz uzmysłowić nam ogrom drogi, którą przeszedł z całym narodem.

Ziemia tu zawsze była w niepokoju.

Z zachodu nadciągali ludzie ubrani w żelazo, palili osady w widłach rzek, po czym uciekali ku zachodowi słońca, pędzeni przez ludzi ubranych w skóry i uzbrojonych w kamienne topory. Tędy szedł Harald Sinozęby, książę Północy, tędy również szły pochody słowiańskiego księcia, który łączył ziemię Ranów i Weletów z ziemią Wielkopolską i Krakowską. Od dawien dawna płonęły tu wsie i osady, budowane na ostrowach, w rozlewiskach wód, na szczytach pagórków. Popieliska i cmentarze zostawiali za sobą duńscy jarłowie, elektorzy brandenburscy i żołnierze niemieckich cesarzy. Widziały te drogi rajtarów szwedzkich Gustawów i husarzy Stefana Czarnieckiego, błękitni kirasjerzy generała Lassale'a zdobywali twierdze nad Odrą, zostawiali gruz, uciekając przed kozakami Platowa w roku 1812. Gościńcami ze wschodu na zachód jeździli bismarkowscy werbownicy, ściągający pułki na wojnę z Francją ostatniego Napoleona, marszerowały regimenty pruskiego landsturm pod Verdun i ćwiczyły się pancerne dywizje Guderiana, które miały zaprowadzić „nowy porządek od Uralu aż po zatokę Biskajską“. Ostatni

Dokończenie na str. 16

Soltys Krzywiak znalazł w Karsku spokój i dobrobyt. Dziewięć lat temu objął tu zwróconą Polsce ziemię. Nie martwi się o przyszłość swych siedmiorga dzieci — dawny chłop z majątku dziedzica w Boczkach jest dziś zasobnym spółdzielcą.



WROCŁAWSKA JESIEŃ 1954

...I postępując sobie gładko jak
po stole,
Weszliśmy na otwarte zbożoro-
dne pole,
Wodząc wzrok po dalekiej od
nas okolicy
Spostrzegamy świątynie i wieże
stolicy.
Miasto staje się dla nas coraz
wyraźniejsze,
Coraz większe i wyższe i coraz
piękniejsze,
To siedlisko nauki Wrocław nasz
sędziwy,
Poważny, okazały, obszerny,
pięściwy,
Uśmiecha się wymowny swoim
położeniem
I wodą splawną Odry, Olawy
strumieniem...

Niemal że dokładnie 110 lat
mija od chwili, gdy wędrował
po Dolnym Śląsku autor tych
słów: trzydziestoletni, skromnie
ubrany mężczyzna w wytartej
czamarcze, nienajnowszych bu-
tach i nie przystrzyżonej brodzie.
To właśnie autor wydanego
przed pięciu laty poematu Śląsk,
podróż malownicza w 21 pieś-
niach, wyśpiewał Bogusz Zygmunt
Stęczyński. Opiewane
przez niego siedlisko nauki, Wro-
cław nasz sędziwy, żyje teraz
nowym życiem.

Zapraszamy na małe spotka-
nie ze studentami jednej tylko
z wrocławskich uczelni — Poli-
techniki. Po ciężkich zniszcze-
niach wojennych, już 15 listo-
pada 1945 roku rozpoczął się
pierwszy rok akademicki Poli-
techniki Wrocławskiej. Z pier-
wotnych czterech jej wydziałów
rozwinęły się dalsze cztery, sta-
wiając przed studentami szero-
kie możliwości specjalizacji tech-
nicznej. Liczba studentów wzro-
sła z 505 w roku 1945 do
4.690 w minionym roku akade-
mickim. Na tej uczelni doktory-
zowało się 18 osób przez cały
czas jej istnienia, zaś 2.136 uzy-
skowało tu tytuły magistrów
względnie inżynierów. Prowa-
dzona przez rektora Smoleńskiego
uczelnia jest kuznią kadry dla
polskiego przemysłu.

Zdjęcia:
WIESŁAW PRAŻUCH



„A KIEDY MI ODDASZ?” — „POJUTRZE RANO!” — „TO ZA PÓŹNO, MUSZĘ SIĘ UCZYĆ JUTRO WIECZOREM” — „NO DOBRZE. ALE SZYBKO, ZARAZ POCZĄTEK WYKŁADU!”

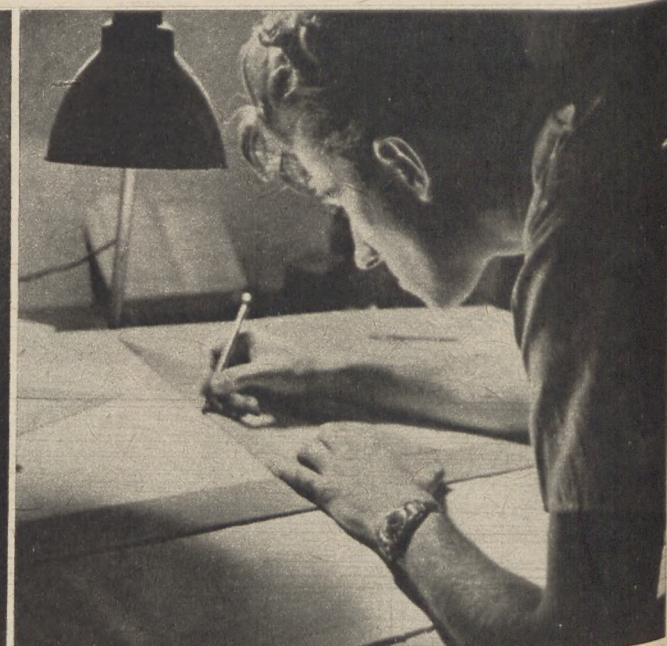


Wreszcie rysunek jest gotów. Porównanie z pracą kolegi
wypadło nieźle i można schować rulon. Reszta wieczoru
należy do nas. Kino, lektura, taniec czy miłe spotkanie?



Teoria „wchodzi do głowy”, gdy podbudowana jest prak-
tyką. A w fizyce — jest to szczególnie ważne. Kolega zgo-
dził się być „pomocą naukową”. Teraz łatwiej zapamiętać.

Ich dwoje. Wrocław, noc i... fotograf. Tegoroczna piękna jesień sprzyja spacerom nad Odrą. Polska młodzież wniosła
nowe życie w stare mury dolnośląskiej stolicy. Na Politechnice Wrocławskiej, której studentami są oboje, uczyło się
w minionym roku akademickim 4.690 przyszłych inżynierów. A przecież Wrocław ma i inne uczelnie wyższe.



W wędrowce po Politechnice Wrocławskiej nasz fotoreporter spotkał studentów przy „rozkładzie jazdy” na cały rok — kogóż by to nie interesowało? A potem jeszcze jeden papiero-
s i ruszamy na wykład. W domu — czeka dalsza praca
i — nie tylko praca. Lucjan Swirtun trzyma ołówek, którym przed chwilą rysował, a teraz dyryguje na próbie zespołu „Czterolistna Koniczyna”. Przyszły doń z wizytą
tylko dwa listki — ale i one oderwały go od pracy.

Zeromski

O WŁASNEJ MŁODOŚCI



„Gdzieś w nieskończonej przestrzeni przyszłości istnieje punkt, ku któremu zwracają się moje oczy. Punktem tym jest sława. Daleka ona i blada, a jednak czeka mnie. Ludzie kładę czytać będą moje nazwisko...”

Tak pisał młody słuchacz weterynarii, który po nieudanej maturze w Kielcach zjechał w roku 1886 do Warszawy. Kim był wówczas młody człowiek, który wytoczył przed sobą tak wielkie zadania? Korepetytorem zarabiającym na swe skromne utrzymanie; słuchaczem wykładów z anatomii i fizyki; uczestnikiem zebrań samokształceniowych, wytrwałym samoukiem i początkującym pisarzem.

Pasjonująca lektura „Dzienników” sumiennie notowanych w ciągu lat 1882–1887 jest nie tylko przebogatym zbiorem faktów dotyczących biografii przyszłego twórcy, zapowiedzią jego talentu. Gdyby ktoś o niewielkiej kulturze literackiej i ogólnej wiedzy, ale obdarzony przy tym talentem, pytał o radę, jak zostać pisarzem, bez wahania należałoby mu podsunąć zapiski młodego Żeromskiego. Już w samej pasji notowania tego, co się wokoło dzieje, jak się samemu na pewne rzeczy reaguje, leży tajemnica swoistej, pisarskiej dyscypliny pracy, która narasta przeważnie powoli, z biegiem lat.

Odczytując wczesne utwory Żeromskiego, „Żyźytowe prace”, „Ludzi bezdomnych”, „Popioły”, czy „Przedwiośnie” — wydaje się, że autor był od razu dojrzałym twórcą. Otóż właśnie „Dzienniki” ukazują drogę Żeromskiego do wielkich osiągnięć artystycznych. Lektury młodego gimnazjisty, a potem studenta, ich rozległość, różnorodność i — powiedzmy otwarcie — chaos, to osobny temat do pracy naukowej. Kraszewski, Jez, Konopnicka, Prus, Wiktor Hugo, Sofokles, Turgeniew, Lermontow, Dostojewski; literatura, socjologia, historia, krytyka, dzieje piśmiennictwa bułgarskiego i chińskiego. Pracowite są wieczory, a nierzadko i noce młodego Żeromskiego. Bo dzień — prócz nauki — szczerze wypełniony korepetycjami.

Nie tylko lektura kształtuje poglądy przyszłego pisarza. Niezwykle trudna sytuacja materialna (oboje rodziców stracił wczesnie) wyrabia w nim samodzielność, hart wobec kłopotów i trosk codziennych. A jest tych kłopotów i trosk naprawdę dużo i wcale niebiałych. „Skąd wziąć sześć rubli na zapłatę mieszkanca? — Wszystkie myśli całego dnia dadzą się sprowadzić do tego zagadnienia”. Albo: „Fakt niezmiernie doniosłości! Jadłem wczoraj obiad w taniej kuchni. Ale za jaką cenę? Za cenę „Poezji” Kościelskiego, „Psychologii pozytywnej w Anglii” Ribota, „Odrodzenia i reformacji w Polsce” Szuskiego etc.; które sprzedam za 3 złote polskie groszy 20 — antykwariuszowi z Chmielnego”.

Pozycja społeczna Żeromskiego szczególnie sprzyjała rozszerzeniu doświadczeń życiowych pisarza. (Echo tych doświadczeń odnajdziemy w losach wielu bohaterów przyszłych książek). Obok czysto młodzieńczych egzaltacji, znaleźć można na kartach „Dzienników” krytyczne, często gorzkie zaprawione uwagi o przedstawicielach warstwy panującej: „Nie chcę wyrzekać ani się skarżyć, ale ciężki to ten chleb korepetytorski. Mnie tam wszystko jedno, mogę zapomnieć o tych upokarzających mnie kolacjach i obiadach... ale trudno nie czuć siebie w sobie nierzad. Cóż to za dwuznaczne położenie — coś pośredniego między gościem, domownikiem, rezydentem a sługą”.

Doświadczenia trudnej młodości, które rozszerzały i pogłębiały wiedzę o świecie w młodym pisarzu nie były tylko czymś spontanicznym, narzucającym się mimo woli. Żeromski zupełnie świadomie napotkane podczas swych licznych zarobkowych wędrówek typy ludzkie i wydarzenia traktował jako materiał dla swej twórczości.

„Czytam „Prawdę” na funty (organ pozytywistów założony w r. 1881 przez Aleksandra Świętochowskiego — wyjaśnienie r. w.), choć więcej czytam w ludziach, a jest to podobno jedna z najbardziej zajmujących powieści”.

Opublikowano „Dzienniki” dopiero teraz, bo pisarz w testamentie pozostawił wskazówkę, by wydanie nastąpiło w pięćdziesiąt lat po jego śmierci. Rodzina zaś zgodziła się na druk w czterdziestym zgonu autora „Popiołów”.

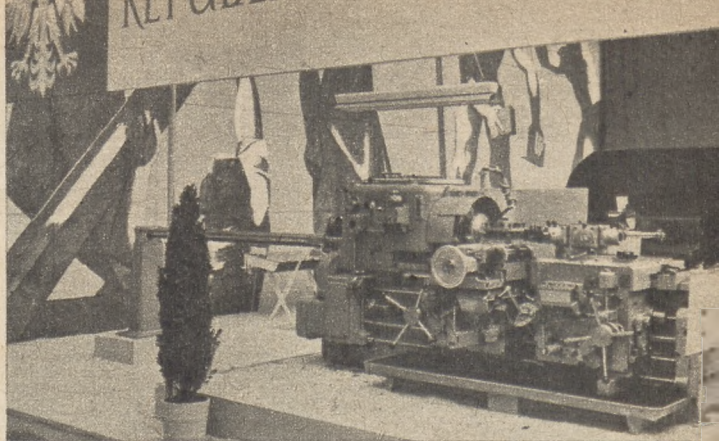
Główna wartość „Dzienników” polega na tym, że ukazuje nam młodość pisarza, tak jak ona rzeczywiście wyglądała, bez hagiograficznych upiększeń. Chłonie wprost setkami książek, zapamiętuje bruliony pierwowciami pisarskimi, analizuje ludzi i fakty, a przy tym pakuje się wciąż z najwykreszszą błędą, od której ratuje go wytrwałość i pracowitość — taki wyłania się z kart „Dzienników” młody Żeromski. Naprawdę warto dopełnić sobie — poprzez lekturę „Dzienników” — twórczość dojrzałego pisarza tym okresem jego życia, który go do dojrzałości — mimo przeciwności — doprowadził.

r. w.

*) Stefan Żeromski: Dzienniki, II, Czytelnik 1954, str. 642.



LONDYN



PARYŻ

POLSKA NARY

EKSPORT. Jego rozwój ilościowy i jakościowy, wzrost jego zasięgu geograficznego oznacza, że gospodarka kraju rozwija się, że lepiej i pełniej można zaspokoić różnorodne potrzeby obywateli. Brzmi to pozornie jak paradoks. No, bo jakże. Jeśli wzmagamy eksport, jeśli coraz więcej wywozimy różnego rodzaju towarów czy surowców, to przez to samo ograniczamy ich ilość na rynku wewnętrznym. Skądże więc — lepsze zaopatrzenie ludności? A jednak tak jest w istocie. Nie ma takiego cywilizowanego kraju na kuli ziemskiej, który by mógł żyć i rozwijać się w całkowitej izolacji od innych organizmów gospodarczych. Żaden kraj nie jest w takiej sytuacji, by wszystkich potrzebnych mu surowców czy fabrykatów miał pod dostatkiem, by jednych bogactw naturalnych, jednych wyrobów przemysłowych nie miał za mało, innych za dużo, żeby nie musiał poszukiwać pewnych artykułów czy surowców u innych, dając w zamian posiadane przez siebie, bez uszczerbku dla potrzeb własnych. Tak samo jest i z nami.

Gdybyśmy nie eksportowali cukru, węgla, cementu, wielu artykułów przemysłu metalowego, chemicznego, drzewnego, włókienniczego, a wreszcie maszyn wszelkiego rodzaju (tych ostatnich eksportujemy coraz więcej), pozbawieni byłibyśmy importu takich surowców i artykułów przemysłowych, których nie posiadamy wcale, bądź w ilości niedostatecznej. To, że np. nasze zakłady tekstylne produkują coraz więcej tkanin wszelkiego rodzaju na potrzeby rynku wewnętrznego, a pewną ich ilość i na eksport, zawdzięczamy temu, że w zamian za artykuły eksportowe otrzymujemy takie surowce, jak bawełna, wełna czy juta.

To, że nasz przemysł skórzany, a w szczególności obuwnictwo, dostarcza na rynek wewnętrzny coraz bogatszy asortyment obuwia i wyrobów skórzaných (niestety, nie zawsze jeszcze dobrej jakości), możliwe jest dzięki importowi skór i garbników.

To, że nasz rynek wewnętrzny jest zaopatrywany w owoce południowe, ziarno kawowe, kakao, oleje roślinne oraz różnego rodzaju przyprawy kuchenne pochodzenia zagranicznego, zawdzięczamy rozwojowi naszego eksportu.

A wreszcie sprawa najważniejsza. Szybka i wszechstronna industrializacja kraju, a przede wszystkim wspaniały rozwój przemysłu ciężkiego: metalurgii i przemysłu maszynowego, a więc tych gałęzi gospodarki, które decydują o potencjale i możliwościach rozwojowych każdego kraju, zawdzięczamy w znacznej mierze temu, że dzięki wymianie handlowej otrzymaliśmy i nadal otrzymujemy wiele cennych dóbr inwestycyjnych, surowców i półsurowców, z których lub na których produkujemy.

I dlatego ożywiona i wielce różnorodna jest nasza wymiana handlowa z zagranicą. I dlatego towar ze znakiem: „Produkt polski” zdobywa coraz szersze rynki zbytu na całym świecie i znany jest już w 71 krajach.

Węgiel, cement, wyroby hutnicze, precyzyjne maszyny, tabor kolejowy, statki morskie, niektóre przetwory rolnospożywcze, cukier, tkaniny, chemikalia i setki innych artykułów stanowią przedmiot naszej wymiany handlowej. Wymiany przede wszystkim z krajami wielkiego rynku socjalistycznego. Rynku najbardziej nam bliskiego nie tylko pod względem geograficznym, lecz i światopoglądowym.

Szczególnie wielką rolę w naszych obrotach handlowych odgrywa oczywiście Związek Radziecki. Jeśli w okresie przedwojennym, wskutek zgubnej dla gospodarki narodowej polityki rządów burżuazyjno-faszystowskich, nasza wymiana handlowa z najbardziej ze wszech miar korzystnym rynkiem zbytu i zaopatrzenia — Związkiem Radzieckim, była prawie żadna, obecnie wymiana handlowa z ZSRR stanowi trzon naszych obrotów i wynosi przeszło 33 proc. naszego handlu zagranicznego.

Równocześnie, mimo trudności stwarzanych przez imperializm amerykański, wzrasta się nasza wymiana handlowa ze wszystkimi innymi krajami bez względu na ich ustrój polityczny i gospodarczy, na zasadach gąłkowej równości i poszanowania wzajemnych interesów.

Prócz już przetartych dla towarów polskich dróg eksportowych i takich tradycyjnych rynków zbytu, jak kraje skandynawskie, Anglia i szereg krajów Europy zachodniej, handel nasz, kierując się nieodmiennie zasadą wzajemnych korzyści i poszanowania obustronnych interesów, pozyskuje nowe rynki zbytu, dając w zamian możliwość ulokowania na naszym rynku wielu artykułów, które mają do zaoferowania kraje importujące nasze surowce i wyroby.

Stosunkowo niedawno pozyskaliśmy nowych poważnych kontrahentów w naszej wymianie handlowej. Są nimi kraje dalekiego kontynentu azjatyckiego: Indie, Pakistan, a ostatnio Indonezja. Rośnie również nasza wymiana handlowa, prowadzona zresztą już nie od dziś, z krajami Ameryki Łacińskiej (Argentyna, Brazylia), oraz z krajami Bliskiego i Środkowego Wschodu. Kraje te chętnie rozwijają swe stosunki handlowe

z nami i z innymi krajami obozu socjalistycznego, bowiem nie traktujemy ich, jak to czynią państwa imperialistyczne, jako swego zaplecza surowcowego, utrzymywanego celowo w zacofaniu ekonomicznym, lecz jako równorzędnych kontrahentów, którym wymiana handlowa z nami stwarza korzystne warunki wszechstronnego rozwoju.

W dążeniu do rozwijania stosunków gospodarczych ze wszystkimi krajami, Polska nie pomija żadnej okazji, która współpracy tej sprzyja.

Jedną z takich bardzo skutecznych dróg zapoznawania sfer gospodarczych świata z naszymi możliwościami eksportowymi i nawiązywania wzajemnej wymiany towarowej są międzynarodowe targi i wystawy gospodarcze. Od kilku lat Polska bierze żywy udział w najpoważniejszych, tego rodzaju imprezach.

Bardzo staranny dobór eksponatów wystawowych, wysoce artystyczna i pomysłowa oprawa dekoracyjna, ciekawe, o wyjątkowych walorach plastycznych i architektonicznych rozwiązania stoisk wystawowych jak i samych pawilonów, które są dziełem najlepszych polskich architektów, plastyków i grafików sprawiły, że wśród sfer gospodarczych i przedstawicieli sztuki pawilony nasze zyskują z reguły bardzo wysoką ocenę, zarówno z punktu widzenia ich efektu handlowego, jak i artystycznego.

W każdym naszym pawilonie wystawowym na targach zagranicznych, oprócz właściwej ekspozycji towarowej, a więc działu czysto handlowego, znajduje miejsce, przedstawiona w odpowiedni sposób, problematyka gospodarcza i społeczna. Unaczynając zwiędzającym rozwój naszej gospodarki narodowej, akcentując właściwym ujęciem plastycznym troskę państwa o szybki wzrost stopy życiowej i pełne zaspokojenie potrzeb życiowych społeczeństwa, wskazujemy jednocześnie sferom gospodarczym zainteresowanych krajów na ogromne możliwości w zakresie łokowania na naszym rynku różnego rodzaju surowców, a przede wszystkim surowców dla przemysłu konsumpcyjnego (bawełny, wełny, kauczuku, skór, paliw płynnych itp.), oraz gotowych artykułów szerokiego spożycia.

Mówimy więc wyraźnie, że nie chcemy, jak to czynią Stany Zjednoczone w stosunku do swoich kontrahentów, szukać jedynie rynków zbytu dla własnych artykułów i surowców, zamykać szczerze swe granice dla artykułów pochodzenia zagranicznego. Przeciwnie, pragniemy eksportować, by móc importować.

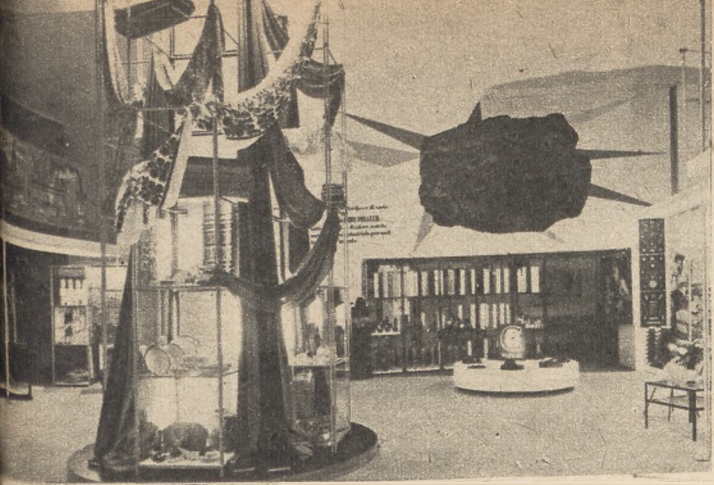
W ciągu bieżącego roku Polska brała udział w wiosennych Targach Międzynarodowych w Mediolanie i Paryżu oraz w jesiennych Targach w Lipsku i Izmirze oraz w Wystawie Żywnościowej w Londynie.

Ogromna frekwencja zwiędzających nasze pawilony wystawowe (np. Pawilon Polski w Londynie zwiędziło 350.000 osób), wielkie zainteresowanie sfer handlowych naszymi eksponatami i możliwościami eksportowymi, a wreszcie wyjątkowo pochlebna opinia o koncepcjach architektonicznych i plastycznych naszych pawilonów, wszystko to dowodzi, że wystawiennictwo nasze odniosło duży sukces propagandowy i handlowy. Fakt ten potwierdzają w pełni głosy prasy zagranicznej, uwagi i opinie sfer handlowych i czynników oficjalnych. Oto jeden spośród bardzo wielu listów z wyrazami uznania, które otrzymuje Polska Izba Handlu Zagranicznego od przedstawicieli sfer handlowych z różnych krajów:

„...Skladamy gratulacje Polakom z powodu tak udanej wystawy i bardzo nam jest miło donieść Wam, że styszeliśmy b. pochlebne uwagi z ust anaielskiej publiczności zwiędzającej Wasze stoisko. Wyrażamy pogląd, że tego rodzaju pokaz o charakterze międzynarodowym okaże się bardzo owocnym w przyszłości”.

Tradycyjny udział Polski w Międzynarodowych Targach w Paryżu, Mediolanie, Izmirze i Lipsku przyniósł również i w roku bieżącym pełny sukces wystawiennictwu polskiemu. Szczególny sukces odniosła Polska na największej i cieszącej się najlepszą tradycją handlową, i to w skali światowej, imprezie targowej — Międzynarodowych Targach w Lipsku. Powierzchnia wystawowa jaką dysponowała Polska, pozwoliła na zademonstrowanie zarówno w obszernym pawilonie, jak i na wolnej przestrzeni, szerokiego wachlarza eksponatów ze wszystkich niemal gałęzi naszego przemysłu i rolnictwa. Największe zainteresowanie wzbudzały eksponaty przemysłu ciężkiego — maszyny budowlane, rolnicze, górnicze, maszyny do obróbki metali i drzewa, jak np. nowoczesne karuzelówki, szlifierki, rewolwerówki, tokarki do obróbki elementów kolejowych itp.

Również inne nasze artykuły eksportowe wzbudziły duże zainteresowanie w sferach handlowych i przemysłowych oraz u wielu tysięcy zwiędzających, czego dowodem były liczne korzystne transakcje, zawarte już w czasie trwania Targów.



MEDIOLAN



IZMIR

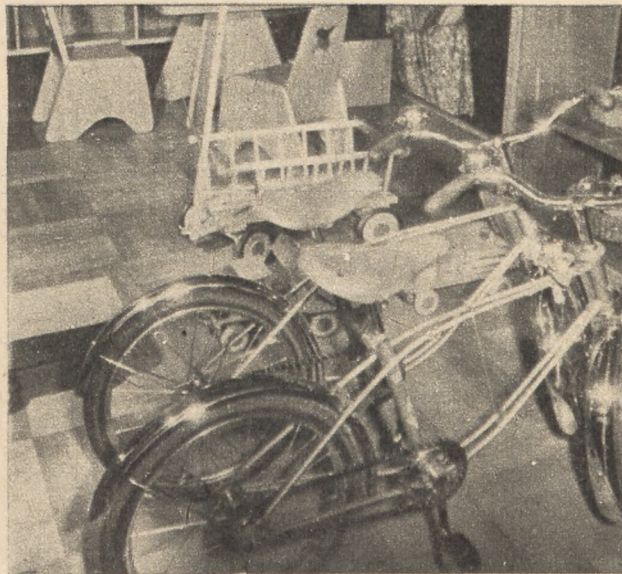
NKACH ŚWIATA

Niemniejszym powodzeniem cieszył się Polski Pawilon na M. T. w Izmirze, a o jego walorach artystycznych i handlowych świadczy wypowiedź przewodniczącego Medżlisu — Koraltana, który dokonał oficjalnego otwarcia M.T. w Izmirze, a po zwiedzeniu naszego pawilonu wyraził uznanie dla jego organizatorów.

Niezależnie od udziału we wszystkich poważniejszych imprezach targowych za granicą, Polska, pragnąc udowodnić swą gotowość do jak najszerzej wymiany handlowej ze wszystkimi krajami, wznowia już w roku 1955 wieloletnią tradycję Targów Poznańskich, pomyślanych jako wielka impreza o charakterze międzynarodowym.

Kolejne XXIV Międzynarodowe Targi w Poznaniu (5.VII. — 23.VII.55) pozwolą tysiącom przedstawicieli kół handlowych i przemysłowych wszystkich krajów na zapoznanie się w całej pełni z różnorodnymi możliwościami eksportowymi i niemniej różnorodnymi potrzebami importowymi, jakie udostępnia polski rynek tym wszystkim, którzy dążą do normalizacji stosunków handlowych, do zacieśnienia współpracy ekonomicznej. Widząc w tym nie tylko dobrze zrozumiany interes własny, lecz również drogę do utrwalenia pokojowego współżycia wszystkich narodów.

Mgr TADEUSZ DZIEKOŃSKI



LIPSK

ADOLF RUDNICKI

Niebieskie kartki

POSŁOWIE DO KSIĄŻKI*

1.

W ROK czy półtora po ukazaniu się „Żołnierzy”, których pewien rozgłos ściągnął burzę na moją głowę, przyszedł do mnie autor niniejszej książki, Karol Zamojski — jasnowłosy, jasnooki, z rumieńcami na twarzy przyczajonej, skrytej — była to twarz człowieka, który nie mówił wszystkiego; przed samą wojną powiesił się w pewnym miejscu w lokalu nocnym. Karol Zamojski przyszedł po to, by opowiedzieć mi, co następuje:

Skończył we Włodzimierzu Wołyńskim podchorążówkę, którą szkolili oficerów rezerwy. Łatwo sobie wyobrazić, co tam przeżył, skoro n a z a j u t r a po wyjściu z wojska sięgnął po pióro. Miał za sobą przeżycia, które nie chciały czekać ani jednego dnia. Widział, co się działo wokół niego jako autora „Żołnierzy” i rozumiał, że drugi raz cenzura nie da się obejść. Chwycił się więc podstępny, włodzi-mierskie przeżycia przeniósł do Prus Wschodnich, kolegom i oficerom nadał niemieckie imiona, a całość podsunął ludziom jako rzecz napisaną przez Niemca Ottona Burga, a przezeń tylko tłumaczoną.

Nie pamiętam już, czy w chwili, gdy przyszedł do mnie, rzecz się dopiero drukowała w odcinkach „Robotnika”, czy też już była wyszła w książce. Nie umiem także powiedzieć, czy redakcja „Robotnika” została dopuszczona do tajemnicy. Wiem, że po ukazaniu się w druku cała ta historia nie była rozszyfrowana, przeszła bez echa. Bodaj ja pierwszy przypomniałem ją w przedmowie do „Żołnierzy” wznowionych po wojnie w roku 1948.

2.

Wartość książki Karola Zamojskiego upatruję w tym, iż daje młodemu powojennemu czytelnikowi — głównemu adresatowi wszelkiego naszego pisarstwa — wgląd w metody wychowawcze, dry i w atmosferę wojska sanacyjnego. Podobna książka napisana dzisiaj mogłaby wzbudzić nieufność czytelnika, data jej pierwodruku czyni z niej dokument cenniejszy w swej wymowie społecznej niż artystycznej; dla swej wymowy społecznej głównie warta była wznowienia. Prawda wczorajszego życia zbyt często nam się zaciera, gorzka — w mgle oddalenia — nabiera zbyt często fałszywej słodkości.

Pod pewnym względem na rzecz Zamojskiego można patrzeć jak na uzupełnienie „Żołnierzy”, zajmuje się ona materiałem oficerskim, przeze mnie pominiętym. Na tle naszych 25% analfabetów, na tle Polski dzielącej zapalkę na czworo, oszczędzającej wodę soloną, idącej spać z kurami, nasi oficerowie ze swymi żelaznymi przepisami „co wypada a co nie”, ze swoim przewrażliwionym „kodeksem honorowym” w wojsku i poza nim — byli śmieszni, gdyby nie byli także tragiczni. Ton nadawali oficerowie pochodzenia ziemiańskiego, którym koszarzy przedłużały ramy dworów, gdzie się wychowali. Oficerowie z niższych sfer starali się jak mogli upodobnić do nich, podciągnąć, ale nigdy nie byli pewni, czy są dosyć podciągnięci, czy należą do noszą mundur, reprezentują, dźwigają — stąd ich stała nerwowość. Demokracja w społeczeństwie klasowym ma zawsze twarz obolałą, najbardziej własnie w drobniaczach. Aby nasz „kwiat u kozucha” zobaczyć jeszcze pełniej, trzeba — obok rodzimej nędzy — przypomnieć sobie nędzę naszych ogromnych liczbowo — mniejszości narodowych. Jedna nie ustępowała drugiej.

3.

Niektóre opisy w tej książce są przeczerńione. Nie trzeba zbyt wiele wnikliwości, by uchwycić które. Autor konstruuje, sięga po końcówki powieściowe — jest to choroba młodych dokumentarzystów, gdy wciągają spodnie powieściopisarzy. Ale i te zgrubienia mają swoją wymowę: odsłaniają duszę piszącego, i nie ją jedną tylko, pokazują duszę przyszłego oficera, który w pięć lat później — we wrześniu 1939 — miał prowadzić swój oddział w bój.

* Posłowie do książki Karola Zamojskiego „W służbie junkrów pruskich”.

KURJER WARSZAWSKI.

Czwartek. 22 Grudnia. Rok 1855/56. Nr 4. Jutro, SS. Teodora i Emiljanę. — Wigilia. Przejść dnia mianu 11.

Przed niedawnym czasem z okoliczności napotykanych w okolicach Warszawy cyganów, udzielił mi terminologię ich mowy. Ale co jest ciekawem także, to terminologia słodziei. Można by powiedzieć, że oni mają zupełnie odrębną mowę, i chociaż wyrzekają się w całym języku polskim, trudno jednakże słysząc ich rozmowę, zrozumieć takową. Terminologia ta w każdej prowincji, jak każdej niemal okolicy, jest zupełnie inną i język op. złodzieja Warszawskiego, jest zupełnie odrębny od języka tegoż z innej prowincji lub miasta Królestwa. Dziś poprzestajemy na podaniu używanej jedynie w Warszawie. Ilek: wydrych do otwierania zamków, nazywa się *kławiak*, a ponieważ złodzieje dzielą się na rozmaite gatunki, więc ci którzy kradną za pomocą otwierania zamków *wydrychami*, nazywają się *kławiakowcami*; (pokazuje się że i tu muzyka, odgrywa swoją rolę). Kradzież z bryczek lub powozów, nazywa się *połok*, a kieszonkowa nazywa się *dulina*. Oporządzać *doliny*, znaczy to samo co oporządzać czyją kieszeń. Ze sobą dla dokonania tej kradzieży, jak np. chusteczki z kieszonki, używają tylko dwóch palców, przeto dokonując tej operacji, nazywają się *widelkowymi*. Obmieszczać *pajęczynę*, znaczy okraść bieliznę z pod strychu, a dokonać *springu*, znaczy wpaść i ściągnąć co z przedpokoju. Kiedy *łyty kopuje*, znaczy kiedy *złoty przywiesza*. *Korosa* oznaczają *karę*, a puścić się na *grande*, jest to samo co popełnić kradzież gwałtowną przez odbicie zamków, lub wyłamanie drzwi i t.p. *Ciuuchy*, oznaczają garderobę; *kapowac*, donosić; *zaspoc*, biadaczyc; *blatować*, zmówić się wspólnie z stoczyną; *passer*, oznaczają uabywającego rzeczy skradzione; *fraser*, latiego który raz pierwszy zostanie na złodziejstwie złapanym; *szewrony*, tego który już kilkakrotnie był pomakowany o złodziejstwo; *łapaczem* miaunują tych, którzy ich chwytają; a *przeorać kradzież* znaczy, po-wybrać z rzeczy skradzionych co lepsze. Tyle zdobyliśmy zdobyć nowego języka.

CIUCHY SPRZED... STU LAT

Czy wiecie, że słowo ciuchy liczy sobie już sto lat? Tak jest. Rodowód jego jest niezbyt szlachetny, ale za to całkiem odpowiedni do znaczenia wyrazu. Oto wywodzą się ciuchy z gwary warszawskich złodziei, podobnie zresztą, jak forsa, blat, czy szemrany. Możecie się o tym łatwo przekonać sięgając do „Kuriera Warszawskiego” z 4 stycznia 1855 roku. Ponieważ nie macie pod ręką tego rocznika, ułatwimy Wam zadanie, reprodukując obok odnośną notatkę z „Kuriera”.



JAN MARIA GISGES

SIERPNIOWY WIECZÓR

1

Przed dom niewielki i biały
pliszkom i wróblom na złość
przyszedł wieczór sierpniowy
codzienny, zwykły gość —

przyszedł wieczór sierpniowy,
przy stole ze mną siadł —
piszemy wiersz ten razem,
bo obaj kochamy świat.

2

Zanim srebrnymi ćwiekami
niebo już będzie drzeć,
wieczór zapuści w stawie
ostatnią, czerwoną sieć —

i zamiast błyszczących rybek
złowi młodziutki nów
i echo głosu dziewczyny
mówiącej miłemu — Bądź zdrow!

3

Tymczasem pasikonik
ostatni koncert gra.
W trójkę słuchamy ciszy:
wieczór i nów i ja.

Warszawie, której światła
z daleka jak gwiazdy drżą —
Dobranoc! — życzymy. Dobranoc!
Dobranoc! — Miastom i wsiom.

JAN WYKA

WÓZEK WSS-u

Czerwone pomidory,
jabłuszka rumiane.
Świt w odświeżonej sukni
przerasta już w ranek.

Kapusty fioletowe,
węgielki siwawe.
Na wózku z różnych jarzyn
składają oprawę.

Za chwilę uczennica
podejdzie do wózka,
jak jabłkiem pierśią młodą
zaszeleści bluzka.

Warszawa z nią się płoni
i słońcem się pali,
migocąc w owocarniach
sznurami koralu.

A z miastem człowiek rośnie,
gdzieniegdzie łachman ruin.
Szelestem kałun wrzesień
przepływa jak strumień.

Wnet zamki zazgrzytają,
roboczy wstanie ranek.
Czerwone pomidory,
jabłuszka rumiane.

JAN GAŁKOWSKI

MGŁĄ PISANE

Konstantemu Ildefonsowi Gałczyńskiemu

I. CHMURY

W chłodne ranki zamglone —
mżawka. Barwy surowe.
Nad miastem chmury.

Wierzcie mi, że i one
należą do grudniowej
warszawskiej architektury.

Choć tylko pojęcie mgliste
mieć mogą o tym fachu —
spacerują, niebo froterują
od dachu do dachu.

I niechby nawet w niebie dziura,
przez mgnienie słońcem pobielana —
co komu szkodzi taka chmura
nigdzie dotąd nie notowana!

II. KOPERNIK

Właśnie pod chmurą
(taką na starym sztychu widzę)
siedzi, siedzi Kopernik
zapatrzony w ulicę...

Przez Nowy świat, przez Krakowskie
dorosli idą, idą dzieci —
już przeszedł tędy cały
rok 1953.

Przechodniu — jezdnia zadrziała!
latarni chwytaj się rekoma!
Ta ziemia jest naprawdę mała,
kreć się w dłoń astronomu!

Po co ci strofa wyszukana,
już z dawna mistrzu Mikołaju
deszcz, gwiazdy śnieżne opadają.
I słońce pada na kolana.

III. SŁYSZĘ JAK ROŚNIE

Chodzę po mieście,
słyszję jak rośnie,
Krakowskim Przedmieściem
wędruję ulkośnie
i tak od Domu Literatów,
przez antykwarnię,
przez księgarnię

do rogu Alei i Nowego Świata —
słyszję jak rośnie
w bruku, w cieniu
bram, gdzie surowa cegła jeszcze —
ileż miękkości jest w kamieniu,
jakże jest mała ulic przestrzeń,
jeśli je w moim sercu zmieszczę! —

A potem mijam stocznie strone,
warszawskie porty, tam, gdzie domy
niby okręty murowane
rosną za smukłym rusztowaniem.
I już niedługo w czas odpływu,
kiedy na piętach światło błyśnie,
ruszą w codzienny rejs szczęśliwy.
Dokąd? —

wiadomo, że ku Wiśle.

Szedłbym tak dalej przez ulice,
gdzie Marszałkowska, gdzie Puławska...
lecz już nie dojrzę —
już nie widzę.
Oczy zamglone.

— Mgła warszawska...

Jeśli nie wierzysz, czytelniku,
Jeśli w tej chwili myślisz sobie:
„gorące słowa w chłodny ranek
są, jak szept każdy — mgłą pisane...”
nie czytaj tego.
Spójrz na miasto.
Zobaczysz, jak wstępuje w chmury.
Spójrz — właśnie buja dziś w obłokach
szczyt Pałacu Kultury.

ARNOLD ŚLUCKI

W PIENINACH

Popatrz:
niby dwie siostry co wyszły
z porannej kąpeli,
stoja,
nadziwić się tobie nie mogą
dwa pasma Pienin.

Spójrzaj:
oto lecą ponad Dunajcem
chmurki z białego, cienkiego lnu;
padają
na pierś twoją smagłą.
Przysiągłbym: w tej chwili,

niby łuk nad twą głową,
promień się zagiął.

ZA KRADZIEŻ KROMKI CHLEBA...

Dokończenie ze str. 11

przemarsz przez pomorską ziemię —
stąpił w tamtym kwietniu; uciekający
zostawili za sobą pożary i gruz.

W roku 1945 przywrócono tej ziemi
spokój.

Bezrolni chłopci podsieradcy, rze-
szowscy jednomorgowcy, formale z dwo-
rów nad Wisłą przyszli orać nad Odrę.
Dawni niewolnicy Dinowów — jak Se-
meniuł czy Kazimierzczak — objęli pola
swoich ciemniarzy. Krzywiak orał z
karabinem na plecach, by „tamci” nie
odważyli się przekroczyć jego miedzy.

Karska ulicówka, obstawiona do-
mami po obu stronach szosy, wcale nie
przypomina osiemnastowiecznego laty-
fundium rycerza cesarskiego Nicolausa
von Blankenburga, którego praprawnuk
był w latach hitlerizmu burmistrzem
Nowogardu i urzędował nad celami,
gdzie Els katował polskich chłopów.
Zmienił się wielokrotnie kataster wsi,
a teraz, gdy łazimy za budynkami
Krzywiak opowiada:

— ...miedze te już mamy zaorane,
tylko kilku jeszcze gospodaruje na in-
dywidualnym, ale i oni przyjdą do spół-
dzielni. Przypatrzą się, zważą, co war-
ta, i przyjdą... Tylko — rezonuje Krzy-
wiak — gromadą można życie przemie-
nić... Szkołę by tu do nas trzeba przy-
bliżyć i powiększyć, budynki remonto-
wać, opatrzyć... W tym roku chyba nie
da rady, ale na przyszły zabierzemy
się... Rada gromadzka teraz u nas bę-
dzie, to z wieloma sprawami pójdzie
się naprzód. Człowiek się postarzeje —
uśmiecha się — dzieciaki podrosną, ale
życie będzie lepsze.

Taki jest Krzywiak: skapo o sobie,
a szeroko o gromadzkich troskach; o
krowach, żeby więcej mleka, o hodowli,

do której trzeba nowe stodoły, o szkole
dla dzieciaków, żeby miały więcej
oświaty.

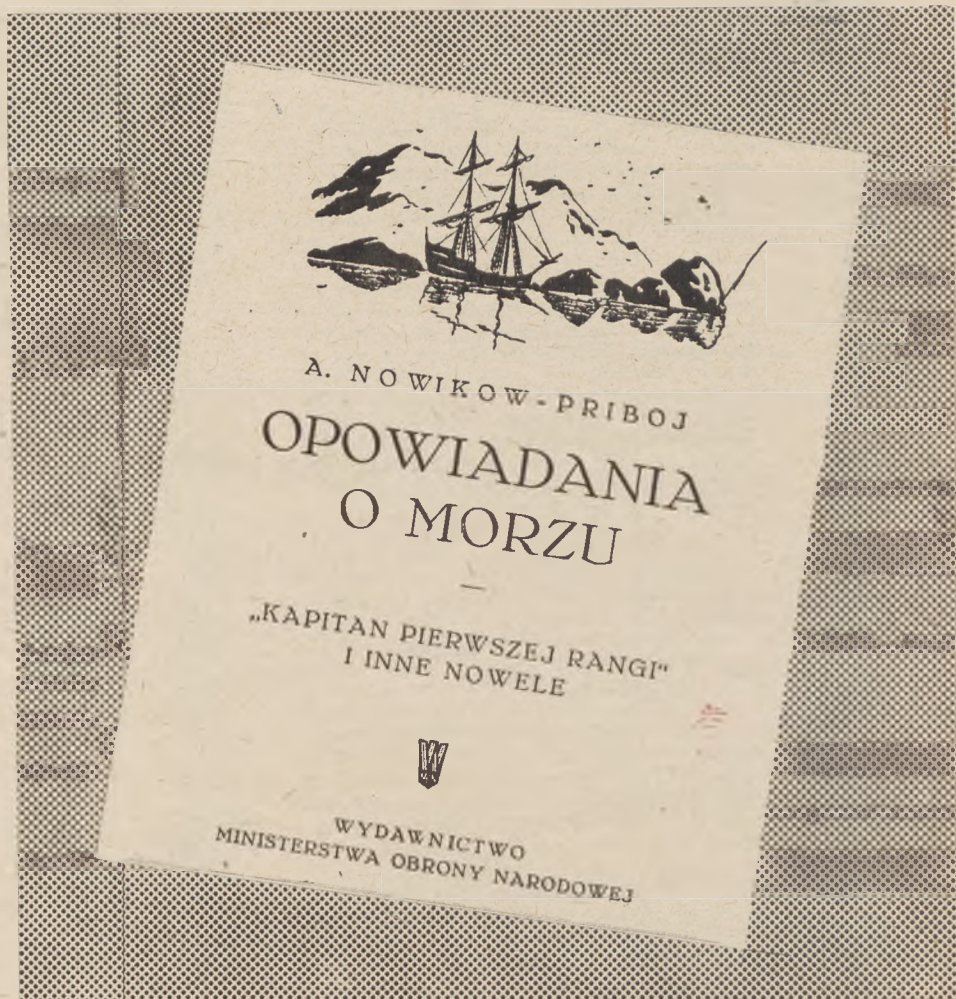
I to nie z sołtyśowskiego obowiązku
czy z gorliwości członka zarządu kar-
skiego RZS-u. Po prostu z troski
o ziemię, o życie na niej.

Dziewięć lat minęło, jak tu żyją. Naj-
starsze dopiero do czwartej klasy. Edek
jeszcze drepce z łapiętą na ojcowskiej
kurtce. Dzieciaki podrosną, pójdą do
szkół, później będą wypisywały ankietę
w uczelniach i fabrykach: „Urodziłem
się w Karsku, pow. Nowogard, woj.
szczecińskie”. Dziewięć lat to będzie
drobniutki — może dwa słowa liczą-
cy — fragment życiorysu Jaśki i Elki
Krzywiaków, ale jakże ogromny
okres w życiu ich ojca... Od: „Ja bez-
rolny chłop z majątku” dziedzica w
„Boczkach...” do czterystuhektarowego
gospodarza — spółdzielcy w Karsku.
Czas, w którym z niewolnika stał się
wolnym chłopem w Przyodrze.

Krzywiak stoi, trochę po gospodar-
sku rozparty w drzwiach murowanego
domu, powleczonego kremowym tyn-
kiem. Drzwi zielonkawe mają stare
pordzewiałe okucia, a w rogu tkwi za-
mazana farbą tabliczka, lecz nazwisko
z niej można jeszcze odczytać: „Ger-
hard Frederich”.

Nazwisko znajome ze ścian nowo-
gardzkiej celi. W Krzywiakowym domu
żył grossbauer Gerhard Frederich
„z Karcyk”, który przed dziesięcioma
laty posłał do więzienia polską dziew-
czynę Zofię Bartoszek za kradzież
kromki chleba...

Czy czujecie teraz smak chłopskiej
wolności?





Reprezentacja Polski po raz pierwszy brała udział w mistrzostwach Europy w Davos w 1926 roku. Na zdjęciu: moment z meczu Austria — Polska 2:1.

SPÓR O HOKEJ LODOWY

NIGDY dotychczas sezon hokejowy nie zaczął się tak wcześnie, jak w tym roku. Dzięki wzięciu hokeistów radzieckich sztuczne lodowisko w Warszawie uruchomiono już w październiku. Przy tej okazji zajrzyjmy na chwilę do historii tego pięknego sportu, który zdobywa sobie coraz większą popularność. Hokej jest bodaj jedynym sportem na świecie, który wywołał liczne spory, jeśli chodzi o jego pochodzenie.

Grecy twierdzą, że na ich starożytnych wykopaliskach V w. przed naszą erą można znaleźć płaskorzeźby ryte w kamieniu, przedstawiające zawodników krzyżujących kije w walce o coś podobnego do piłki czy też krążka. Wynalezieniem hokeja lodowego pragną się również poszczycić i Irlandczycy. Uważają oni, że ich starodawna gra „hurley” — to prawzór hokeja. Duńczycy demonstrują puchar ofiarny ich pogańskich przodków, z rzeźbami postaci grających kijami w grę na lodzie. Francuzi wywodzą nazwę „hokej” od francuskiego „hoquet” — słowa oznaczającego zakrzywiony kij pasterski podobny do biskupiego pastorału.

Historia hokeja na lodzie granego krążkiem (hokeja kanadyjskiego) nie sięga tak dawnych czasów jak dzieje hokeja lodowego, w którym używa się piłki. Tego rodzaju piłkarską grę uprawiano w Rosji bodaj że już w okresie panowania Piotra I. Przeszła ona stamtąd do Finlandii, Szwecji i Norwegii i znana jest tam pod nazwą „bandy”.

Hokej rosyjski, lub też „bandy”, grany jest przez dwie drużyny po 11 zawodników. W hokeju kanadyjskim przy graniu krążkiem na mniejszym boisku niż hokej rosyjski biorą udział dwie drużyny po 6 zawodników. Jest to bez wątpienia najszybszy sport zespołowy.

I on też króluje na lodowiskach świata.

Nasz europejski sposób gry różni się od hokeja amerykańskiego, będącego raczej boksem czy też wolnoamerykanką na lodzie. Jednak i w europejskiej grze zawodnik musi być niezwykle odporny, gdyż hokej jest walką pomiędzy dwoma zespołami doskonale i wszechstronnie wyćwiczonych sportowców. Walka nadzwyczaj szybka, w której często dochodzi do starcia wręcz „ciało na ciało”. Jak już wspomnieliśmy, historia hokeja z krążkiem nie sięga bardzo dawnych czasów. Według jednej wersji powstał on w połowie XIX w. w kanadyjskim mieście Kingston. Druga zaś wersja mówi, że hokej kanadyjski wziął swój początek na uniwersytecie McGill w Montrealu, gdzie go wprowadził W. F. Robertson, który wraz ze swym kolegą Fr. Smithem przystosował grę i zasady hokeja na trawie — do gry lodowej. Działo się to w roku 1879.

Posłuchajmy co na ten temat mówi autorytet hokejowy — Peter Patton w swej książce „Ice Hockey”.

„Po raz pierwszy grano w hokeja lodowego z krążkiem w Montrealu w grudniu 1879 r. Pierwsze przepisy ustanowił mieszkaniec Montrealu, ówczesny student tamtejszego uniwersytetu McGill, Fr. Smith”.

Ten „sui generis” ustawodawca sportowy tak pisze w liście do Pattona:

„Latem roku 1879 mój przyjaciel W. F. Robertson, również student uniwersytetu McGill, pojechał na wakacje do Anglii, gdzie mu się bardzo podobał hokej na trawie. Robertson był entuzjastą łyżwiarstwa i kiedy z Europy przyjechał do Montrealu objaśnił mi przepisy hokeja na trawie i zapytał, czyby nie można było gry tej zaadoptować jako sport na lodzie. Wziąłem się wobec tego do roboty i po kilku dniach pierwsze zasady hokeja na lodzie ujrzały światło dzienne. Wreszcie 17 września 1879 przedłożyłem je Robertsonowi i kilku naszym kolegom uniwersyteckim”.

Przepisy nowej gry składały się zarówno z zasad hokeja na trawie, jak i rugby. Pierwszy mecz odbył się na zamrożonej rzece św. Wawrzyńca w grudniu 1879 r. Każda z drużyn liczyła po 9 hokeistów, przy czym krążek był kwadratowy, wycięty z twardej gumy.

W zimie 1879/80 rozegrano serię spotkań uniwersyteckich. W następnym sezonie zimowym powstał pierwszy klub hokeja na lodzie „McGill University Hockey Club”.

W pięć lat później odbyły się mistrzostwa Kanady w hokeju lodowym, który stał się od tej chwili niejako sportem narodowym tego kraju.

Wartości sportowe, widowiskowe i wychowawcze hokeja na lodzie sprawiły, że przeszedł on szybko przez wszystkie kontynenty (nawet i Afrykę) i w r. 1908 powstała Międzynarodowa Liga Hokeja na lodzie. Przez następne dwa lata MLHL rozrastała się organizacyjnie, co pozwoliło na rozegranie w r. 1910 pierwszych mistrzostw Europy w Les Avants w Szwajcarii. Mistrzostwa świata z udziałem drużyny z Oceanu odbyły się po raz pierwszy w roku 1920 w Antwerpii. Tytuł mistrza zdobyła wówczas Kanada, która powtórzyła ten sukces piętnaście razy. Kanadyjczycy oddali tytuł mistrza świata w roku 1933 w Pradze Stanom Zjednoczonym. W roku 1936 w Garmisch Partenkirchen — Wielkiej Brytanii, w roku 1947 w Pradze i 1949 w Sztokholmie — Czechosłowacji oraz w Sztokholmie w 1954 — Związkowi Radzieckiemu.

W Polsce grano w hokeja lodowego piłeczką i na łyżwach „figurowych” jeszcze przed pierwszą wojną światową. Były to tylko słabe „pierwsze kroki”, a mecze rozgrywano jedynie w kraju.

W 1926 r. po raz pierwszy reprezentacja Polski wy-

W Sztokholmie w 1954 r. po raz pierwszy w mistrzostwach świata uczestniczyła reprezentacja ZSRR, „etronizując” Kanadę. Na zdjęciu: Kuzin (pośrodku) wyrabia sobie pozycję do oddania groźnego strzału.



Na zdjęciu tym widać walkę o krążek w czasie Akademickich Mistrzostw Polski w 1952 roku.

stąpiła w mistrzostwach Europy w Davos. Start nasz nie był udany, gdyż zajęliśmy 7 miejsce wraz z Hiszpanią i Włochami. W drodze powrotnej ze Szwajcarii w Pradze pokonaliśmy Czechosłowację 1:0, co było dużym sukcesem młodego hokeja polskiego, bo Czechosłowacy właśnie w Davos zdobyli wicemistrzostwo Europy.

W następnych mistrzostwach w 1927 r. w Wiedniu Polska była czwarta, zaś w dwa lata później w Budapeszcie zdobyliśmy tytuł wicemistrza.

W mistrzostwach świata w r. 1930 w Chamonix wyładowaliśmy na 5 miejscu, a w rok później w Krynicy — na 4, jako wicemistrzowie Europy. Na Olimpiadzie w r. 1932 w Lake Placid startowały tylko 4 drużyny. Zajęliśmy ostatnie miejsce. W roku 1938 zaznaczył się spadek klasy polskiego hokeja, który w hierarchii światowej obniżył się do 8—9 miejsca. Ostatnie przedwojenne mistrzostwa odbyły się w roku 1939 w Londynie, gdzie zdobyliśmy 6 lokatę.

Po wyzwoleniu nasz hokej, tak jak inne gałęzie sportu — musiał organizować się właściwie od początku. Trudna to była droga, wymagająca wielkiego wysiłku. W r. 1947 w Pradze uzyskaliśmy 6 miejsce. W rok później w St. Moritz zajęliśmy tę samą lokatę. Na Olimpiadzie w roku 1952 w Oslo nie posunęliśmy się naprzód.

W tej chwili hokej polski przeżywa kryzys; starsi gracze nie mogą już startować, a młodzież jeszcze nie nabrała odpowiedniego szlif. Nie ulega wątpliwości, iż stworzenie kadry instruktorów, budowa sztucznego lodowiska w stolicy i wspólne treningi z hokeistami radzieckimi przyczynią się już w niedługim czasie do podniesienia poziomu tego pięknego sportu.

KAROL HIG



Fot. Müller, Paryż

Najpiękniejszy koncert

DROGA z Paryża do Lille była nieciekawa, ale za to męcząca. Piękny, na wpół mazowiecki pejzaż Ile de France szybko ustąpił szarym, falistym płaszczynom północy, potem zza horyzontu poczęły ukazywać się łańcuchy ogromnych hałd, szeregi wiertniczych wież i kołowrotów, czerwone mury kopalń, ognie hut. Dzień był chmurny — nad Pas de Calais i Nordem wisiały jednak także chmury dymów. Powietrze niosło chwilami fale czadu i siarkowych mgieł. W tej części Francji rzadko mogą się przypomnieć poetyckie zachwyty nad słodką Francją — gubi się tu obraz „la douce France”.

W okolicy Lille mieszka ponad 100.000 Polaków. Jest to stara emigracja — emigracja lat kryzysu, straszliwych przednówek polskiej wsi, wygasłych wielkich pieców i zamkniętych kopalń Śląska. W owych latach spłynęła na obczyznę kilkuset tysięczna fala tułactwa. Z „wojnej i niepodległej” wygnała ich nędza i głód.

Z Pas de Calais i Nordu wróciło do Polski przed siedmiu laty kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Ogromna zaś większość tych, którzy poczuli, zachowała wierność dla ojczyzny, zachowała gorącą o niej pamięć. Ogromna bowiem ich większość jasno pojmuje sens naszych dni — ufa ich pracy i walce. To, że nie wszyscy wrócili, to skutek wrośnięcia w rodziny francuskie, siła przebytych na Nordzie i „Podkalu” lat, całego prawie czasu życia...

Jadąc do Lille „Mazowsze” wiedziało, że spotka ludzi sobie bliskich. Rozrzucone wokół Lille „kolonie” górnicze, osady wokół hut i fabryk, domki z czerwonych przydymionych sadzą cegieł daleko leżą wprawdzie od mazowieckiej, śląskiej czy krakowskiej ziemi. Wielu z tych emigrantów zatraciło już akcent języka — pogubiło słowa. A jednak nie zapomnieli treści słowa „ojczyzna” i nie zatracili akcentu wzruszenia, gdy nieporadnie a gorąco dziś ją wspominają. Na pozór drobniarz — ale i to coś znaczy, że francuską nazwę departamentu „Pas de Calais” przechrzcili po swojemu — na... „Podkale”.

Ostatnie koncerty w Paryżu osiągnęły taki stopień temperatury entuzjazmu na widowni, że jako

sprawozdawca uległem już nawet pewnemu zbławianiu. Notowaliśmy ze spokojem wymowne liczby — 3.200 widzów (w sali na 2.800) w dniach 18 i 19 października — przeciętna 2.000 odchodzących od kas — od czterech do pięciu bisów na koncert — itp. itp. Owe koncerty rozpałały widownię nawet tymi punktami programu, które dotychczas przyjmowane były z zachwytem raczej powściągliwym.

Dlatego też jadąc do Lille nie oczekiwałem niespodzianek — a w każdym razie — nadmiernych niespodzianek. Wiedzieliśmy, że część widowni od razu przyjmie „Mazowszan” z otwartymi ramionami — że nie poskapi przyjaźni, serdeczności ani entuzjazmu. Mimo to — mimo przewidywań i owego, mówiąc między nami, „zbławiania” — fakty przekroczyły przewidywania.

Echo paryskich tryumfów wyprzedziło oczywiście przyjazd zespołu. Od razu po przyjeździe można się było w tym zorientować. Prasa miejscowa potraktowała odwiedzin „Mazowsza” w Lille jako sensację. Od razu za kulisami pojawili się reporterzy, fotoreporterzy, krytycy muzyczni. Okazało się, że największy miejscowy dziennik zamierza cały numer swego niedzielnego dodatku poświęcić właśnie „Mazowszu”. Nad widownią i na estradzie czekały już gotowe mikrofony zainstalowane przez miejscową radiostację.

Nie były to jednak jeszcze niespodzianki — ostatecznie mogliśmy się spodziewać, że Paryż dał dostateczny przykład entuzjazmu, by tak właśnie zareagowała prowincja.

A jednak niespodzianki nastąpiły. Rozpoczęły się od pierwszego podniesienia kurtyny. Dosłownie od pierwszej chwili, w której oczom widzów ukazał się obraz zespołu stojącego na praktykach, obraz grający kolorami jak kwietna łąka. Sala teatru w Lille jest o połowę mniejsza niż sala w Palais de Chaillot. A przecież głos braw i okrzyków, który zabrzmiał już w pierwszej chwili, uniósł się nad widownią z nie mniejszą siłą, niż wszystkie tamte „burze i ulewne” oklasków z teatru przy placu Trocadero w Paryżu. Tradycja paryskich koncertów była mniej więcej taka:

widownia rozgrzewała się w miarę upływu minut i kwadransów. Temperatura podnosiła się skokami — „Bandoska”, „Tramblanka” i „Sieradz”, „Pod borem” i „Oberek”, oto jej główne progi w pierwszej części programu. W drugiej rolę tę spełniały „Walczyk łowiński”, „Ptaszek”, „Kukuleczka” i wreszcie finałowy „Mazur”. I tu już, jak pisała „Paris-Presse”, widownia szalała.

No dobrze — ale jak w takim razie opisać widownię teatru w Lille?

Tu przecież cały paryski obrządek z miejsca się stracił. Brawa wznosiły się wysokimi falami co chwila, przy otwartej kurtynie, wielokrotnie częściej i wielokrotnie goręcej niż dyktowały wszystkie dotychczasowe doświadczenia! To był osiemnasty koncert we Francji — osiemnasty z rzędu, z ciężkiego, wyczerpującego cyklu występów, mimo całego zmęczenia, mimo trudów podróży i nowego koncertowego wysiłku. Dziewczęta i chłopcy „Mazowsza” raz jeszcze, a może piękniej nawet niż kiedykolwiek, ukazali widowni całą urodę i siłę swej sztuki. Na głos wzruszonej, rozpalonej widowni artyści karolińscy odpowiedzieli piękniej jak umieli. Nic dziwnego, iż zgubiło się także paryskie „zbławianie” — sprawozdawcy z Palais de Chaillot — biłem brawo w tym samym rytmie i z tym samym głębokim przejęciem, jak nasi przyjaciele z Nordu i „Podkala”.

Owi przyjaciele stanowili nie więcej niż połowę widowni teatru w Lille. Ale nadawali jej ton i temperaturę wzruszeń. Czuło się, że ci ludzie przeżywają spotkanie z tym, co jest ich sercom najbliższe — z obrazem dalekiego a niezapomnianego kraju.

Nic dziwnego, że ich wzruszeniu nie oparł się nikt. Ani widzowie łóż, czy pierwszych rzędów, ani wstrzeмиęliwi początkowo krytycy, ani przygodni goście teatralnej sali.

I oczywiście — ich wzruszeniu nie oparł się przede wszystkim sam zespół. Toteż dał koncert świetny, koncert prawdziwie porywający. Tak — to był chyba najpiękniejszy koncert „Mazowsza” we Francji, z październikowej podróży w roku 1934.

JERZY BROSZKIEWICZ

FOTO

KORRESPONDENCI DONOSZĄ

ZA OSZCZĘDNE GOSPODAROWANIE WĘGLEM



Nad coraz skuteczniejszymi metodami oszczędzania węgla radzą proudujący palacze woj. lubelskiego.

SPOŁDZIELNIA IM. 5 GRUDNIA

Imieniem 5 Grudnia — datą wyborów do rad narodowych — nazwali chłopci z Nowych Dworów (woj. poznańskie) założoną przed kil-

kunastu dniami spółdzielnię produkcyjną III typu. Od dłuższego już czasu zastanawiano się w Nowych Dworach nad przystąpieniem do zespołowej gospodarki.

— Jest spółdzielnia w Folsztynie, jest w Zielonowie, powinna być i u nas — doszli do wniosku. 15 gospodarzy podpisało statut spółdzielni.

Młodzi spółdzielcy zdążyli już także podjąć zobowiązania dla uczczenia wyborów do rad narodowych. Przyłączyła się do nich prawie cała wieś i obecnie, pod kierunkiem fachowca z powiatu pracują wszyscy razem przy robotach melioracyjnych.

Ponadto chłopci z Nowych Dworów wyremontowali już budynek na siedzibę przyszłej rady gromadzkiej. Z radością oczekują dnia, w którym zaczną pracować gromadzka rada narodowa i kiedy nie trzeba już będzie wędrować 10 km do władz gminnych w Wieluniu Północnym.

M. Masłowska, Poznań
Fot. K. Przychodzki

MAŁA RZECZ — A PRZYJEMNIE

Poznańscy tramwajarze obejmujący służbę przy Moście Uniwersyteckim — w najbardziej ruchliwym punkcie miasta — muszą czekać na „swój” tramwaj na przystanku. Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne postawiło więc przy przystanku kilka ławek przeznaczonych wyłącznie dla obsługi komunikacji miejskiej.

Poza tym MPK zamieniło stojącą tam dotychczas szpetną budkę dla służby nad-

zorczo-technicznej na ładny i estetyczny domek.

Mała rzecz a przecież świadczy o trosce zarówno o wygląd miasta, jak i — co ważniejsze — o pracowników Przedsiębiorstwa, którzy najczęściej pełnią służbę „na stojąco” w przepelnionych wozach i przynajmniej na swoją zmianę mogą oczekiwać na wygodnej ławce.

Zb. Tempelski, Poznań



Wzór godny naśladowania

ŻYCZYMY DALSZYCH SUKCESÓW

W ubiegłym roku rozpoczęli wędrowkę po Ziemi Lubuskiej etnografowie. językoznawcy i historycy sztuki. Zbierali stare ludowe melodie, pieśni i tańce, które przetrwały okres germanizacji i zachowały się w wielu powiatach — szczególnie w okolicy Dąbrówki i Nowego Kramiska — w całej swej krasie.

Praca naukowców oraz wybitnych fachowców z dziedziny tańca i śpiewu zapoczątkowała odwołanie i spularyzowanie folkloru lubuskiego. W czerwcu 1953 roku przy wojewódzkim

Związku Spółdzielni Pracy powstał Lubuski Zespół Pieśni i Tańca, który w czasie swego krótkiego istnienia dał wiele występów w Opolu, Zakopanem, Warszawie, a ostatnio — w czasie „Dni Winobrania” w Zielonej Górze.

Zespołowi, który tańczy starego „Wiwata”, „Gołąbka” i inne tańce ludowe przy dźwiękach oryginalnej kapeli złożonej ze skrzypki, klarnetów i „koziów”, życzymy wielu dalszych sukcesów.

E. Matuszewski, Zielona Góra

Byli przodownikami pracy w fabryce, hucie, zakładzie przemysłowym, a teraz zdobywają tytuł przodownika pracy w walce o likwidację odlogów i ugorów.

Jedni orzą i sieją zboża ozieme, inni przygotowują ziemię pod uprawy wiosenne, jeszcze inni wybierają ziemniaki i buraki.

Robota „pali” im się w rękach.

W ciągu trzech ubiegłych kwartałów lubelscy kolejarze zaoszczędzili 4.763 tony węgla wartości 428 tys. zł. Elektrownia lubelska w porównaniu z zeszłym rokiem zmniejszyła zużycie paliwa umownego z 837 g do 783 g na 1 kWh. Również poważne oszczędności uzyskały zakłady podległe Woj. Zarządowi Przemysłu Terenowego Materiałów Budowlanych, a Fabryka Samochodów Ciężarowych zaoszczędziła w ciągu 9 ubiegłych miesięcy 263 tony węgla i 16 ton koksu.

Przodujące miejsce w spalaniu gorszych gatunków węgla, a szczególnie mułu węglowego, zajmują maszyniści kolejowi: Alfred Kamiński i Stefan Grego, którzy spalają na swym parowozie 50% mułu węglowego.

Podczas ostatniej wojewódzkiej narady proudujących palaczy z inżynierami i technikami omówiono dotychczasowe doświadczenia i podjęto nowe zobowiązania w oszczędzaniu paliwa. 11 proudujących palaczy, za wybitne osiągnięcia w tej dziedzinie, otrzymało upominki w postaci rowerów, aparatów radiowych i wiecznych piór.

M. Górewicz, Lublin

PRZED ZIMOWYM SEZONEM



By uniknąć wypadków przebudowano most nad dużą bandą.

Pogodna, słoneczna jesień zachęca raczej do kontynuowania sportów letnich niż do przygotowań do sezonu zimowego. „Budowlani” z Karpacza ciesząc się słoneczną pogodą nie zapominają jednak o kalendarzu i zbliżającej się nieubłaganej zimie.

Już w lipcu, a więc wówczas, kiedy chodziliśmy jeszcze na plażę, przystąpiono do gruntownej przebudowy toru bobslejowego, gdzie w zbliżającym się sezonie — 1955 r. odbędzie się Bobslejowe Mistrzostwa Polski oraz kilka spotkań międzynarodowych.

Dotychczasowy tor był przestarzały i nie nadawał się do spotkań międzynaro-

O kim mowa? O młodzieży z pionierskiego zaciągu ZMP, która już od szeregu tygodni pracuje w PGR-ach woj. zielonogórskiego.

Kierownik gospodarstwa Gajec (zespół Rzepin), ob. Jan Przybył — zadowolony jest ze „swoich” — jak ich nazywa — pionierów.

— Pracują, jakby od dawna siedzieli na roli. A roboty jest dużo. Ziemiaki sadzone systemem kwadratowo-gniazdowym obrodziły jak nigdy.

Również i w zespole PGR Słubice młodzież pokazuje co potrafi. Już po 10 dniach pracy przeciętnie każdy z pionierów uzyskał ponad 150% normy. Przetłumuje 24-osobowa grupa w gospodarstwie Owczary, wyrabiająca od 180—200% normy.

W PGR Czerwone, zespół Słubice, pionierów jest około 70. Wszyscy zadowoleni są z przybycia na Ziemię Zachodnią. Wielu z nich zamierza



Kurpiacy z gromady Todzia na trasie raidu.

WIEŚCI Z PIONIERSKIEGO ZACIĄGU



Omioty w PGR Górzycy (pow. Słubice) przebiegają sprawnie

sprowadzić tu rodziny, aby pozostać na stałe.

— Straszono nas przed wyjazdem — mówią pionierzy — że nie będzie gdzie mieszkać, że będziemy „na pustkowiu”, a tymczasem są nie

tylko mieszkania, ale i rozrywki. Organizujemy już LZS, orkiestrę, chór, koło sceniczne. Po pracy nam się nie nudzi.

H. Lipiński, Zielona Góra

Z PUŁAW DO LUBLINA NA ROWERZE

Ulicami Lublina przeciągał niedawno barwny korowód. 400 uczestników pierwszego centralnego chłopskiego raidu kolarskiego wyruszyło z Puław — siedziby Naukowego Instytutu Rolniczego, zwiędził Kazimierz nad Wisłą i przybyło do Lublina na Centralną Wystawę Rolniczą, gdzie ustanowiona została meta raidu. Zwyciężyła w raidzie grupa województwa opolskiego, zdobywając puchar prechodni Zarządu Głównego ZSCH.

Jednego z uczestników raidu, Jana Mikę z gromady Kraśnica z powiatu Strzelce

Opolskie, spotkała w Lublinie miła niespodzianka. Otóż Jan Mika wjechał na teren Wystawy Lubelskiej jako milionowy gość, wobec czego otrzymał premię w postaci 6-miesięcznej maciory.

Na zakończenie raidu, na Podzamczu w Lublinie, odbył się uroczysty wiec, na którym wręczono drużynom i uczestnikom indywidualnym raidu wiele wartościowych nagród.

Impreza ta, zorganizowana staraniem Zarządu Głównego ZSCH, zyskała wielkie uznanie uczestników.

G. Markiewicz, Lublin

FOTOGRAFIA NA CODZIEN KONTROLA DZIAŁANIA MIGAWKI

Do pomiarów szybkości migawek centralnych i szczelinowych służą specjalne przyrządy — chronometry, synchronizowane przy pomocy fotokomórki z otworem migawki. Ale i bez pomocy tych precyzyjnych przyrządów, w wypadkach wątpliwości co do działania migawki, możemy sami sprawdzić jej szybkość.

W tym celu do koła roweru ustawionego „do góry nogami”, przytwierdzamy dwie błyszczące kulki szklane lub skrawki cynfolii: jedną na osi, drugą na obwodzie koła. Na obręczy lub oponie. Koło wprawiamy w ruch i z zegarkiem w rękę wyczekujemy zwolnienia szybkości jego obrotów aż do momentu, gdy jeden obrót będzie przypadał na jedną sekundę. Przy dobrze wyregulowanym lekko obracającym się kole, takie ustalenie szybkości obrotów nie sprawia specjalnej trudności.

Gdy ustalimy, że koło porusza się z szybkością jednego obrotu na sekundę, wykonujemy zdjęcie przy określonym nastawieniu migawki, np. 1/25, czy 1/5 sek. Po wywołaniu negatywu i wykonaniu powiększenia sprawdzamy, jaką część obwodu koła stanowi luk nakreślony błyszczącym punktem blaszki lub kulki na obwodzie koła. Przy nastawieniu migawki np. 1/5 sek. i prawidłowym jej działaniu, luk ten stanowić powinien 1/5 część całego obwodu, przy szybkości 1/10 sek. — 1/10 obwodu. Oczywiście niewielkie odchylenia są tu dopuszczalne.

Dla sprawdzenia krótszych czasów migawki, jak np. 1/100 lub 1/200 nadajemy obrotom koła większą szybkość, np. 5 obrotów na sekundę. Wówczas, przy nastawieniu migawki na 1/100 sek., linia zakreślona przez punkt błyszczący wynosić będzie 1/20 część obwodu.

Jasny punkt utworzony przez kulkę nieruchomą stanowić będzie centrum naszego koła, którego obwód narysujemy na zdjęciu cyrklem. Zdjęć takich możemy wykonać kilka. Koło rowerowe fotografujemy z odległości 1—1,5 metra, przy czym powinno być ono ustawione równoległe do płaszczyzny negatywu, oś koła winna stanowić przedłużenie osi optycznej obiektywu.

Nowości wydawnicze. — W ramach „Biblioteki Fotoamatora” wydawanej przez Filmową Agencję Wydawniczą, ukazała się trzecia z kolei książeczka — „Pracownia Fotoamatora” Zbigniewa Pekosławskiego, autora poprzednio wydanej popularnej książki „Z fotografią na ty”, poświęconej obróbce laboratoryjnej negatywów i pozytywów.

„Pracownia Fotoamatora” bardzo zwięźle i przystępnie omawia szeroki temat urządzenia atelier w warunkach przeciętnego mieszkania, wyposażenia ciemni, oświetlenia, sposobów wykonywania reprodukcji, sporządzania domowym sposobem wielu przyrządów koniecznych do pracy, jak waga do chemikaliów, reflektory, przystawka do powiększeń i wiele innych.

Wielką zaletą książeczki jest duża ilość rysunków, które są znacznie wymowniejsze niż zdjecia o wątpliwej jakości. Rysunki te w dużej mierze zastępują tekst, a częstokroć są łatwiejsze do zrozumienia niż opisy.

„Pracownia Fotoamatora”, obok poprzednio wydanych tomików, „Jak fotografować” T. Cypriana i „Fotografia krajoznawcza” E. Falkowskiego, stanowi pożyteczną lekturę dla wszystkich miłośników fotografii, a przede wszystkim dla tych amatorów, którzy lubią majstrować i mają ambicje uprawiania fotografii w możliwie szerokim zakresie.

Odpowiedzi redakcji.

T. Matejak, Milanówek — a) Sól Schlippego czyli siarkoantymonian sodu są to bezbarwne kryształy, stosowane do tonowania pozytywów na kolor sepiowy. b) Zamiast bromku potasu, możemy stosować 0,87 części bromku sodu lub 0,82 części bromku amonu. W wielu wypadkach niektóre składniki fotograficzne można zastępować innymi, łatwiej dostępnymi — tabelę przeliczeń przy użyciu składników zastępczych wkrótce podamy na łamach naszego działu.



Stroje nasze są równie stare i piękne jak nasz repertuar.

KILKADZIESIĄT kilometrów od Izmiru, czyli dawnej Smyrny, znajdują się ruiny Efezu. To, że musimy tam pojechać, nie ulega wątpliwości. Inaczej nie mógłbym patrzeć ludziom prosto w oczy. Oczywiście w Polsce. Zamawiamy dwa miejsca w autobusie, a za niewielki napiwek kierowca umieszcza nas koło siebie, tak, że będziemy mogli wygodnie obserwować drogę. Autobus, niesłychany gruchot, wygląda jak przeznaczony na szmelc, ale pięknie wymalowane na karoserii czyste litery, oznaczające firmę transportową, budzą zaufanie.

I rzeczywiście jedziemy zupełnie dobrze. Z wielkim hałasem, potężnie się trzęsąc mimo asfaltowej szosy, ale z fantazją. Upał niesłychany, po chwili jesteśmy zupełnie mokrzy, pociesza nas jednak to, że obywatele miejscowi pocą się nie gorzej od nas, choć przodkowie ich mieszkali tu od setek, a niektórzy od paru tysięcy lat.

Droga prowadzi przez piękne, urodzajne okolice; oczywiście w tle, jak wszędzie w Turcji, widać góry. Mijamy coraz częściej kroczące z godnością wielbłądy. Kończy się tu panowanie osiołków, które królują na północy. Od tych okolic, i dalej na południe, rolę głównego środka transportowego spełniają już wielbłądy.

Oczywiście gapimy się tylko my. Turcy na nic nie zwracają uwagi. Co innego gdyby na szosie zjawiała się gęś. Wtedy role odwróciłyby się, bo tu gęsi są pokazywane w Zoo, tak jak u nas wielbłądy. Dojeżdżamy do Seldżuku, gdzie, według informacji, mamy wysiąść, aby się dostać do Efezu, ale kierowca na tak zwane migi tłumaczy nam, że lepiej pojechać dalej, a on nas wysadzi gdzie trzeba. Kilka kilometrów za miasteczkiem zatrzymujemy się w szczerym polu, opuszczamy trajkoczący hałaśliwy autobus, a szofer wskazuje nam kierunek, w którym znajdują się ruiny. Uśmiechamy się do siebie przyjaźnie, a przy okazji usiłujemy dowiedzieć się o której godzinie mamy autobus powrotny. Pokazujemy na zegarek, mówimy Izmir, robimy ruchy jakbyśmy trzymali w ręku kierownicę i wołamy: „pu, pu, pu!” Wszyscy pasażerowie autobusu biorą udział w dyskusji, ale zdania są podzielone. W końcu poznajemy zegarki pasażerów oraz mnóstwo palców ich właścicieli, którzy usiłują nam coś wytłumaczyć. W końcu orientujemy się, że autobus z powrotem będzie, ale co do tego o której godzinie opinie są sprzeczne.

Sytuację wyjaśnia młody, chudy Anglik w brnatnych szortach, który jak się okazuje też wysiadł z naszego autobusu. Z jego informacji wynika, że powrotny autobus odchodzi około godz. 17.30. Teraz jest 10 rano, mamy więc masę czasu. Zostawiamy Anglika w brnatnych szortach, machamy za odjeżdżającym autem i udajemy się w kierunku Efezu.

Turkot autobusu powoli się od nas oddala i ogarnia nas tak ogromna cisza, że nie chcąc jej naruszyć, mówimy do siebie szeptem.

Idziemy zacienioną drogą. Bardzo blisko przed nami spore góry. Efez musi być jeszcze przed nimi. Jesteśmy skupieni i wzruszeni. Za chwilę wkroczymy w historię.

Nagle ciszę przerywa okrzyk dziecka:

Pisał i rysował:
ERYK LIPIŃSKI

GDZIE JEST CUD ŚWIATA?

NOTATKI Z PODRÓŻY

(3)

„Good bye!” Oglądaliśmy się w prawo, skąd słyszemy głos. Na czterech żerdziach dach z maty, ścianki też z maty, ktoś tam musi mieszkać. Widzimy małego chłopczyka, który powtarza swój okrzyk: „Good bye!”. Chłopczyk uśmiecha się do nas. Machamy do niego przyjaźnie. Mały turecki brzdąc nie jest jeszcze wyrobiony politycznie, pozdrawia nas w języku swoich okupantów. A my nastroszeni jesteśmy na parę wieków przed naszą erą i należymy nas pozdrawiać co najmniej po grecku...

Idziemy dalej. Pierwsze ruiny, to gimnazjum bogatego efezyjczyka Vediusa, zbudowane w czasach rzymskich. Zachowała się zupełnie dobrze brama wejściowa i dziedziniec z kolumnadą, wyłożony płytami z marmuru.

Parę kroków przed nami prześlizguje się szybko jakiś wąż. Postanawiamy być uważni. Po wężu wylania się spoza kolumn Anglik.

Większość angielskich turystów ma beznamiętny stosunek do pamiątek przeszłości, do dzieł sztuki. Łażą z przysłowiowym Baedekerem, lub z innym prospektem, sprawdzają, czy rzeczywistość zgodna jest z opisem, pstrykają aparatem i ten punkt już mają cdfajkowany, mogą iść do następnego. Jak w tej grze dziecinnej, gdzie rzuca się kostkę i przesuwa na pole nr 7.

Uciekamy od Anglika. Chcemy być sami. Chcemy obcować tylko z historią i mitologią.

Słońce pali coraz mocniej, wprost z góry. Ściągamy koszule i wkładamy je na głowę. Wyglądamy dziwnie, ale przynajmniej nie będziemy mieć przepalonych głów.

Ruiny Efezu są nieuporządkowane i to stanowi ich niesłychany urok. Małe, nie rzucające się w oczy tabliczki umieszczone na metalowych słupkach, informują w językach tureckim i angielskim o kierunkach i o tym co dana ruina przedstawia. Idziemy dalej. Przechodzimy koło zbudowanego w czasach Nerona (54—68) stadionu, na którym odbywały się walki gladiatorów. Dalej mijamy tzw. Kościół Podwójny. Świątynia chrześcijańska zbudowana na budowlach rzymskiej. Jest to sławna Hagia Maria z Efezu.

Oglądamy następnie termę nazwaną od imienia cesarza Konstantyna, który odbudował je z ruin. Dalej idziemy piękną ulicą długości ponad 500 m, wyłożoną olbrzymimi płytami z marmuru. Na niektórych z nich dobrze zachowały się fragmenty napisów greckich. Ulica ta była naprawiana ostatnio za cesarza Arkadiusza (395—408), a płyty pochodzą z jakiejś antycznej rozbiórki. Stwierdzamy, że jesteśmy w całym Efezie sami (nie licząc Anglika). Spłoszone naszymi krokami duże jaszczurki szybko giną w szczelinach marmuru. Nie odzywamy się do siebie, pogrążeni całkowicie we własnych myślach. Ach, żeby tu był z nami Parandowski!

Czuję się zaniedbany

ny, że dotychczas nie wychodzą z ukrycia fauny, że nie spotkałem żadnej postaci znanej z rzeźb czy malunków greckich. Ukazanie się takiej osoby byłoby tu zupełnie normalne. Patrzę na mojego kolegę. Wyglądamy tu głupio w długich spodniach i koszulach umocowanych na głowie. Zrywam kilka liści figowych, pierwszy strój człowieka.

Jak oni je umocowywali? Dziś można by na linkach nylonowych. Liście szalenie szybko wysychają, musiano je często zmieniać, ale przy tej ilości drzew figowych, to nie musiało być kłopotliwe.

Zajadając zerwane figi, oglądamy imponujące ruiny Wielkiego Teatru, w którym około 25000 widzów oglądało spektakle, słysząc dokładnie, dzięki doskonałej akustyce, każde słowo. Budowę tego wspaniałego teatru rozpoczął cesarz Klaudiusz (41—54), a dokończył Trajan (98—117).

Maszerujemy dalej, niedawno odkrytą ulicą Marmurową, zatrzymujemy się zachwyceni pięknem Biblioteki Celsusa. Nagle z antycznego nastroju wyrwa nas napis PTT umieszczony na małej drewnianej budce. Czyżby to tureckie PTTK? Okazuje się, że jest to po prostu budka telefoniczna. Wewnątrz portret Atatürka i informacja w kilku językach z której wynika, że możemy stąd rozmawiać ze wszystkimi miastami Europy. Możemy, ale nie chcemy!

Znajdujemy tu podpisy turystów. W innych miejscach podpisywać się trudno, wszędzie jest marmur, a trudno chodzić z dółkami i wykuwać swoje imię.

Obok, przy murze okalającym stary plac targowy, przycupnęła mała restauracyjka. Kilkanaście stolików pod dachem z maty. W głębokim cieniu jest chłodno i przyjemnie. Pijemy doskonały czeski Pilsner. Właściciele restauracji proponują nam pocztówki z widokami ruin Efezu, jakieś wyroby ceramiczne, kolekcję znaczków pocztowych. Są bardzo dyskretni, mówią cicho, zachowują się spokojnie. Wyobrażamy sobie, że są w tunikach, nic nie kupujemy i jest nam dalej dobrze.

Oglądamy dalej kilka zabytków dotyczących już spraw chrześcijańskich. Wieżę, gdzie był więziony św. Paweł, grootę, w której według legendy przez dwa wieki spało siedmiu młodych chrześcijan, schroniwszy się tam przed prześladowaniami. Wreszcie grobowiec św. Łukasza z wykutym w marmurze krzyżem i płaskorzeźbą byka. Św. Łukasz, jeden z czterech ewangelistów, chociaż lekarz z zawodu, był patronem malarzy.

Z nadzieją, że po wycieczce u jego grobu będziemy lepiej malować, zwiedzamy dalsze ruiny, szukając jakiegoś marmurowego kawałka stopy, ręki lub fragmentu głowy. Niestety wszystko wyszabrowane, chowamy sobie jedynie po małym kawałeczku marmuru, żeby znajomi też wiedzieli, jak wygląda Efez. Jak się okazało

później, na próżno, bo cyniczni warszawiacy nie wierzą w autentyczność i twierdzą, że to kawałek odłupany na MDM.

Przy starej zatoce jeszcze raz natykamy się na Anglika. Zajął do księżeczki i powiedział, że tu jest pięknie. Potwierdzamy zgodnie i szybko idziemy w przeciwnym kierunku. Jeszcze trochę potłuczonych marmurów i wychodzimy na szosę. Koniec z historią, zaczyna się asfalt.

Po drodze do Seldżuku szukamy miejsca, gdzie powinny znajdować się ruiny świątyni Artemidy (Diany), uważanej w starożytności za jeden z siedmiu cudów świata. Kilkakrotnie niszczona, za każdym razem była odbudowywana jeszcze piękniej i wspanialej niż poprzednio.

Świątynię tę wybrał sobie Grek Herostates i postanowił spalić ją, aby jego imię za wszelką cenę przeszło do historii.

Obydwa zamiary udały mu się całkowicie. Pewnej nocy w r. 356 przed naszą erą, gdy w dalekiej Macedonii królowi Filipowi urodził się syn nazwany przez rodziców Aleksandrem, a przez potomnych Wielkim, spłonęła piękna świątynia w Efezie. Imię szaleńca Herostatesa jest znane do dziś.

Gdzie są te ruiny? Na zakurzonej szosie natykamy się na jakiegoś Ormianina, znającego parę słów po francusku. Gdzie są te ruiny też nie wie, ale bardzo chce nam pomóc. Skracamy do pierwszych zabudowań Seldżuku. Nikt o Artemidzie nic nie wie, natomiast oferują nam „Camele” i „Lucky Strike”. Każdy nasz krok podnosi tumany z drobniutkiego pyłu. Ludzie i zwierzęta osłabieni upałem, chronią się w cieniu drzew i domów. Na środku drogi ułożył się mały osiołek, auta go omijają, nie go to nie obchodzi, chce tylko wypoczywać.

Niecałe sto metrów od sprzedawcy „Cameli”, za rzadkim laskiem figowym, trafiamy do celu. Miejsce gdzie znajdowała się świątynia zostało odkryte stosunkowo niedawno, bo w r. 1869, przez uczonych angielskich. Musimy wierzyć na słowo, że był to jeden z cudów świata. Dziś jest to bagnista zapadlina w ziemi. Z wody sterczy kilka fragmentów budowli. W dole pełno śmieci, kawałków arbuza i skaczących zab.

Ludność nazywa to miejsce zapadlina angielską (la depression anglaise), co ma znaczenie wielorakie.

W pobliżu, na zboczu wzgórza, znajduje się wspaniały meczet zbudowany w r. 1375 przez Isa Beya i noszący do dziś jego imię. Potężna budowla długości około 60 m ma bogato ozdobione fasady i pięknie rzeźbione okna.

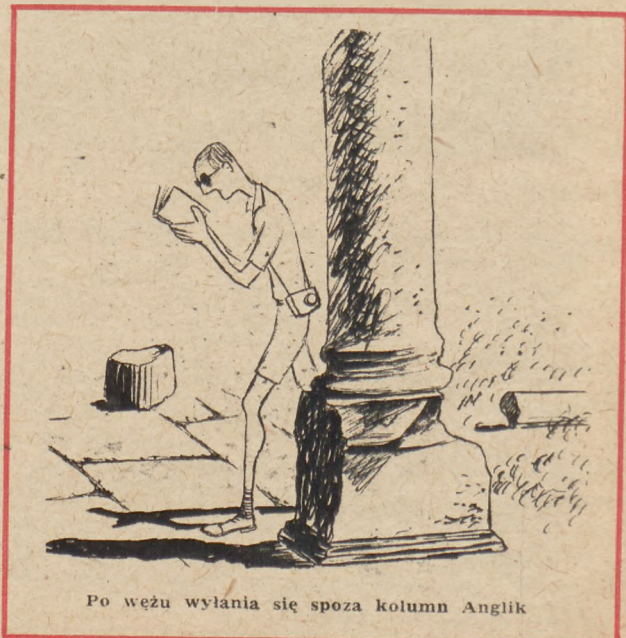
Niestety nie możemy dostać się na dziedziniec. Dozorcy gdzieś się poukrywali, zmorzeni upałem.

W Seldżuku zwiedzamy jeszcze znajdujące się pod gołym niebem muzeum rzeźb ocalałych z Efezu, przy czym największe wrażenie robi na nas zupełnie współczesny dzbanek zimnej wody, którą uprzejmie częstuje nas dozorca muzeum.

Nasza wyprawa skończona. Siadamy w małej restauracyjce, posilamy się winogronami i wkrótce łapiemy jakiś samochód jadący do Izmiru i warszawską metodą „na łebka” wracamy do miasta i do wieku dwudziestego



Wyglądamy głupio w koszulach na głowie



Po wężu wylania się spoza kolumn Anglik



SAJFI KUDASZ na PEWNYM ZEBRANIU

Zebranych było w sali nader liczne grono
(próżno byś miejsca tam wolnego szukał)
kiedy dyskusję prowadzono
nad poematem Borsuka.

Jedni w gorących słowach
głosili jego zalety;
inni — żeby nie martwić poety —
woleli po prostu milczenie zachować.

Wreszcie z ogromnym animuszem
Lis podsumował dyskusję.
Schylony nad arkuszem
po sali spojrzął w skupieniu,
potem na Borsuka wzrok przeniósł
i z uśmiechem uklonił mu się.

„Utwór twój słusznie za świetny uznano,
dłoń mistrza widać tam wszędzie;
ja, osobiście, śpieszę stanąć
w twych wielbicieli rzędzie.
W wierszu Borsuka
zachwyca nas głębia i sztuka.
Jest on krótki — a przecie znajdujemy
w nim nader liczne doniosłe problemy”

Po dyskusji podchodzi Lis do Jeża
i tak mu się poufnie zwierza:
„W tym borsukowym utworze
nic nie ma z wierzchu ani na dnie,
żadnych tematów ni zagadnień,
a forma? Pożal się Boże...
Wszystko zużyte już, przetarte,
mdłe, bezsensowne, nic nie warto!”

* * *

Koniec. Morału kwestia się wylania...
Lecz zbędny morał w tym wierszyku —
jeżeli tylko, Czytelniku,
bywał na takich zebraniach.

Spolszczył
GABRIEL KARSKI

WYDZIAŁ JĘZYKOZNAWSTWA

APOSTOŁ

KIEDY akuszerka powiedziała do szczęśliwego ojca:
„Pójdę teraz po wianienkę, a pan niech w międzyczasie przypilnuje dzieciaka”, noworodek rozkrzyczał się w niebogłosy i długo nie można go było utulić, choć do tej chwili leżał sobie najspokojniej.

Od tego czasu w rodzinie poczęła ugruntowywać się opinia, że dziecko jest niezwykle i powołane do rzeczy wielkich.

Rósł i dojrzał. Nie dzieląc uciech kolegów szkolnych, w chwilach wolnych od lekcji chodził po mieście i poprawiał ortografię w napisach, którymi jego rówieśnicy ozdabiali okoliczne płoty. Został nawet raz poturbowany przez dozorcę parku, gdy scyzorykiem usiłował poprawić wyrzynięty na ławce napis „Ty osiole”.

Trudno, żadna prawdziwa misja nie obywa się bez ofiar i cierpienia.

Na uniwersytecie uczył się za dwóch — latami jego studiów można by śmiało obdzielić dwóch studentów i jeszcze by starczyło na pół dyplomu dla trzeciego. Ale ta gruntowność wyszła mu na dobre. Koledzy zgodnie podkreślali, że na egzaminach mówił zawsze najpoprawniejszym językiem, choć może nieco od rzeczy.

Ale, że nikt nie jest wolny od potknięć, zakochał się w córce piwowara. Była to nieszcześliwa miłość. Rychło też opuścił na zawsze bogdanę, a ostatnie słowa, które usłyszał z ust ojca ukochanej: „Amelko, idź, otwórz drzwi, a my w międzyczasie spuścimy tego idiotę ze schodów”, utwierdziły go tym bardziej w jego świętym posłannictwie.

Odtąd całe swe życie poświęcił walce z powiedzeniem „w międzyczasie”, które tak zachwrasza nasz język.

Napisał 3 rozprawy i 32 przyczynki do genezy słowa „międzyczas”.

Wygłosił 835 referatów i pół (nie dokończony z powodu reakcji publiczności).

Wziął udział w 10825 dyskusjach.

Wysłał 1778 sprostowań do 32 dzienników.

Działalność ta przyniosła mu trzy doktoraty „honoris causa” i liczne odznaczenia krajowe i zagraniczne.

Został wybrany członkiem zarządu wielu instytucji i stowarzyszeń.

Przeprowadzona przez niego klikuletnia akcja spowodowała usunięcie słowa „międzyczas” z tablicy ogłoszeń urzędu gminnego w Majtasach.

Gdy umarł, w pogrzebie jego wziął udział cały świat kulturalny.

Wszystkie pisma zamieściły długie nekrologi.

Najobszerniejszy artykuł przyniósł „Nowy Kurier”.

„Nieubłagana ręka śmierci — pisał — wyrwała z naszych szeregów wielkiego uczonego, autora doniosłych rozpraw, niezrównanego popularyzatora. Wielkie są jego zasługi i dopiero potomność zdola je należycie ocenić...”

Artykuł kończy się słowami:

„Odszedł wielki apostoł poprawności języka, ale dzieło jego życia pozostało. Z nowym zapalem podejmie zaszczytny trud walki huf młodych entuzjastów, których wielki mąż zdolał w międzyczasie wychować”.

Napisał WIESŁAW BRUDZIŃSKI

SWIAT

o tym wie!

ZNAJOME TWARZYCKI



Amerykański tygodnik „Life”, znany ze swych antyfrancuskich wystąpień, zamieścił w numerze z dnia 4 października obszerny reportaż, będący w połowie panegirkiem ku czci zmarłej w zranieniu młodości EWO, a w połowie wynoszący pod niebiosą „nową” adenauerowską armię. Ze zdjęć, które reprodukuje za tygodnikiem „Life”, wynika jednak, iż armia ta w wielu przejawach wcale nie jest taka „nowa”. Zobaczmy jednak sami.

Pierwsze zdjęcie przedstawia oficera zachodnio-niemieckiego wojska. Jest to — jak pisze sam „Life” — pułkownik Emil Schuler, były dowódca hitlerowskich oddziałów górskich w Finlandii. Twarz jego znaczą blizny korpo-ranckich pojedynków. Szkoli z innymi kadry adenauerowskiej armii.

Drugie zdjęcie przedstawia oddział „Grenzschutzu” udający się na ćwiczenia koło miasta Koburg. „Life” znów przyznaje, iż umundurowanie i helmy przypominają do złudzenia stary Wehrmacht. Trzecie zdjęcie wreszcie — to podobizna przeciętnego żołnierza owego „Grenzschutzu”, który twarz ma wymalowaną (dla zamaskowania w czasie ćwiczeń) sadzami. „Life” pisze wymijająco pod tym zdjęciem: „Wielu dawnych oficerów Wehrmachtu służy obecnie w „Grenzschutzu” w randze podoficerów...”

Zresztą i bez podpisów tygodnika „Life” pod zdjęciami twarzą te są nam znajome. Pod do-brotliwą opieką Anglo-Amerykanów wylązały one znów na światło dzienne.

MICHAŁ ANIOŁ SPRZEDAJE NAFTĘ

Ogłoszenie niniejsze pochodzi z angielskiego tygodnika „Economist” z dnia 19 czerwca. Zaczyna się ono reprodukcją fresku Michała Anioła z kaplicy Sykstyńskiej. Potem następuje obszerny cytat z Ralph Waldo Emersona

(1803—1882), a w kąci tej całostronicowej reklamy widnieje emblemat amerykańskiego koncernu naftowego „Esso Petroleum Company”.

Pozwalamy sobie zapytać: co ma tzw. piernik do wiatraka?



IDYLLA NA CAŁEGO

Na terenie jednego z licznych amerykańskich lotnisk wojskowych pod Monachium odbyła się parę tygodni temu „pod-niosła” uroczystość. Na zaproszenie komendanta lotniska, pułkownika wojsk USA, Armstronga, przybył tam hitlerowski ex-feldmarszałek Albert



Kesselring (w środku) wraz z ex-pułkownikiem „Luftwaffe”, Siegfriedem Reinhardtem (po prawej). „Drogich gości” powitano z wylaniem. Kesselringowi wręczono w kulminacyjnym punkcie uroczystości olbrzymi tort, na którym wymodelowano w marcepanie najnowszy typ samolotu odrzutowego. Wzajemnym życzeniom i serdecznościom nie było końca.

Słowem — idylla!

WSZYSTKO DLA... MYDŁA

Goniąc za sensacją, 24-letnia aktorka Betty Fox z Allentown (stan Pensylwania) ogłosiła niedawno, iż wykona ona szpagat w powietrzu, bez zabezpieczenia, osiemdziesiąt metrów nad powierzchnią ulicy. Punktem oparcia miał być przy tym krążek o średnicy 50 cm wysunięty z okna. Im bardziej wyczyn „sportowy” mrozi krew w żyłach, tym więcej przyniesie może sławy i pieniędzy — rozumowała — nie bez racji — miss Fox.

O projekcie tym przeczytał w gazetach szef reklamowy koncernu mydłanego „Rinso” — Georg Cramer. Uznał go za fantastyczną reklamę i zaproponował aktorce, by szpagat wykonała, za odpowiednim wynagrodzeniem, przed frontonem gmachu „Rinso”.

Jakimś cudem skok, „uwieczniony” na zdjęciu, udał się. Uznano go za „najlepszą reklamę mydła w bieżącym sezonie”.

Reklama byłaby jeszcze lepsza, gdyby Betty Fox zabiła się...



DYNAMIT POD MOSTAMI

Pomimo sprzeciwów poważnej części zachodnio-niemieckiego społeczeństwa oraz organizacji samorządowych, Amerykanie zakładają komory dynamitowe pod wszystkimi prawie ważniejszymi drogami oraz mostami Niemiec zachodnich. Zdjęcie przedstawia komorę wybuchową, założoną pod mostem na Nekarze, koło miejscowości Seckenheim.

Akcji tej nie sprzeciwia się zupełnie ministerstwo spraw wewnętrznych w adenauerowskim rządzie. Czegoż się bowiem nie robi dla przyjaciół, nawet gdy grozi to śmiercią i zniszczeniem...





Zapytała ją, dlaczego płacze. Otarła oczy chusteczką, spojrzęła na mnie i wymownie machnęła ręką.

— Ogoniaste dwunożnego i tak nie zrozumie.

Długo musiałam ją przekonywać, że Syrenka rozumie wszystkie lzy, że zresztą ogon się nie liczy, skoro chodzi o serce. A właśnie całym sercem chcę poznać troski takiej młodej osoby, która przecież śmiać się powinna do życia a nie płakać.

Uległa. Ale zaraz zrobiła mi dziwną propozycję.

— Ja pójdę pierwsza, a ty o parę kroków za mną i patrz na moje nogi.

Nie zauważyłam nic szczególnego. Ty, że stylony był z lekką liliową, no ale to jest „brak” tak chroniczny, że kobiety już od dawna przestały płakać na ten temat. (Znalazły sposób — moczą w kawie). O co więc może chodzić mojej nowej znajomej? Aha... zaraz, zaraz... jakoś te pantofelki przy każdym kroku zjeżdżają z pięt. Ładnie to rzeczywiście nie wygląda, ale żeby zaraz lzy...

— Pantofle trochę za duże — zaryzykowałam niesmiało, czy to o to?...

— Więc jednak zauważyłaś, Syrenko? No to dobrze, no to posłuchaj, teraz ci wszystko opowiem, bo już mnie rozsadza z wściekłości.

— Czy to się warto przejmować takim głupstwem? Wziół wkładkę.

— Wkładkę? Patrz! — Ściągnęła pantofel i chwyciła się na jednej nodze wy machiwała mi nim przed nosem. — Pro-

szę, jedna, druga i jeszcze korek na do-

datek!!!

Zaproponowałam, żebyśmy weszły gdzieś na kawę, żeby się uspokoiła i po kolei wszystko opowiedziała, bo na razie nie nie rozumiem. Kawę wypita, ale nie powiem, żeby ją to uspokoiło.

— Może o tym nie wiesz Syrenko, więc się dowiedz, że są w Polsce obywateli drugiej kategorii. Proszę cię, nie przerywaj. No, czy obywatele, to nie wiem, ale w każdym razie obywatelki. Pogardzane, pomijane, nie liczące się, ot jakby ich w ogóle nie było. I ja właśnie do nich należę.

— Oszałałaś kobietę, co ty wygadujesz?

— Nie, nie oszałałam, chociaż nie zdrzyliabym się, gdyby mi się to przytrafiło. Tak moja droga. Były czasy, kiedy „drobną stopę kobiecą” opiewano w wierszach. Dziś mieć małą nogę to przekleństwo. Dziś robi się buty dla kobiet od 35 numeru wwyż. 34 to rzadkość, a spróbuj niewiasto mieć stopę jeszcze mniejszą — umarł w butach. Przepraszam, umarłaś bez butów! Pomyśl Syrenko, biegam po wszystkich pedetach z cedetem na czelu, po wszystkich sklepach z obuwiem MHD. Nadaremnie. Takie śliczne mokasyńki, bezowe, zielone, w ażurkę, w kwiatuśki, z paseczkami, z kokardką, z wstążeczką — niestety nie dla mnie. „Na takie nogi pani chce mokasyńki?” — śmieją się ekspedientki — Ale gdzie tam, nie robi się!” Takie śliczne zamkowe granatowe trumnieczki z paseczkami, z klamerką, cacko! Na ciuchach ładniejszych nie dostaniesz i znowu to samo: „Na takie małe nogi chce pani trumnieczki, ale gdzie tam, nie robi się!” To samo w Cypeli, to samo w Galluxie. Syrenko, błagam cię, zrób, żeby się robiło, bo ja do-

prawdy nie wiem już co robić! Jak kupię dziecinne, to potem słyszę na ulicy za moimi plecami: „Patrz, mamusi, ta pani nosi takie same pantofelki, jak ja”. I jeszcze uwierają w podbiciu, no bo to przecież są dziecinne. A jak już wreszcie dostałam „najmniejszą” czwór-kę, no to widzisz, z nóg mi spadają mimo dwóch wkładek i korka. A takich jak ja są przecież tysiące. Przecież Polki słyną ze swych drobnych stóp. Co mamy robić nieszczęśliwe, drobnostopie kobiety, w czym mamy chodzić?!! Dłaczego Otmęt i inne zakłady przemysłu obuwniczego uparły się, żeby produkować tylko duże obuwie?

Dłaczego? Oto jest pytanie. Może uważają, że skoro dla nóg, to można... bez głowy.



SZACHY

PARTIA NR 130
grana podczas tegorocznych mistrzostw Polski
Obrona Nimzowitscha

Białe: E. Arlamowski
Czarne: B. Śliwa

1. d2—d4 Sg8—f6 2. c2—c4 e7—e6 3. Sb1—c3 Gf8—b4 4. e2—e3 Sb8—c6 5. Gf1—d3 e6—e5

Zazwyczaj grywa się w tej pozycji 5... d5. Śliwa od razu zaczyna atakować pionowe centrum białych.

6. Sg1—e2

Białe zachowują napięcie w centrum. Słabsze byłoby 6. d5.

6... d7—d5

Bardzo ryzykowny plan. Otwarcie pozycji jest z reguły korzystniejsze dla strony lepiej rozwiniętej. W tym zaś przypadku stroną tą są białe.

7. c4:d5 Sf6:d5 8. e3—e4 e5:d4

Czarne chcą w ten sposób zdobyć piona. Znacznie ostrzeźniejsze było 8... Sf6.

9. e4:d5 Hd5:d5 10. 0—0 d4:c3 11. b2:c3 Gb4—e7

A więc pion został zdobyty. Zaczynają się jednak poważne trudności z zakon-

czaniem rozwoju.

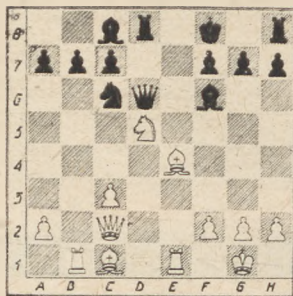
12. Hd1—c2 Gc8—g4

Na 12... 0—0 nastąpiłoby oczywiście 13. G:h7+.

13. Se2—f4 Hd5—d6 14. Wa1—b1 Wa8—d8 15. Gd3—e4 Gg4—c8 16. Sf4—d5

Czarnym udało się rozwiązać problem rozwinięcia figur hetmańskiego skrzydła. Przez ten czas jednak białe figury pozajmowały aktywne pozycje. Jak teraz schronić w bezpieczne miejsce króla?

16... Ge7—f6 17. Wf1—e1 Ke8



Mniejszym złem była jednak rozkada. Wprawdzie białe odbijały natychmiast piona zachowując widoczną przewagę, ale czarne miały wówczas większe szanse obrony niż po posunięciu w tekście. Teraz białe mocnymi uderzeniami rozbijają pozycję przeciwnika.

18. Hc2—a4 Kf8—g8

Wymuszone! Groziła strata hetmana.

19. Gc1—a3 Hd6—d7 20. Sd5:f6+ g7:f6 21. Ge4:c6 Hd7:c6

22. Ha4:c6 b7:c6

Liczne wymiany nie polepszyły wcale sytuacji czarnych.

23. Ga3—e7 Wd8—d6

Przegrywa natychmiast. Jednak i po nieco lepszym 23... Kf7 partia czarnych była nie do obrony.

24. Ge7:d6 c7:d6 25. We1—e8+ Kg8—g7 26. We8:h8 Kg7:h8 27. Wb1—b8

i czarne poddały się.

Od i do Czytelników

Do Mariana Brandysa list o Pińczowie

„Przede wszystkim w imieniu pińczowiaków składam serdeczne dzięki za reportaż. Szkoda, że Pan nie podał jego genezy. Załóż się, że przyszła Panu myśl zajrzeć i napisać o „największej dziurze” w Polsce. Wybrał Pan oczywiście Pińczów.

Nawet sobie Pan nie wyobraża jaką sprawił mi Pan przyjemność. Opuściłem swe miasto przed 10 laty i dotychczas (o zgrozo!) nie zajrzałem do niego. Nie, nie zapomniałem o nim, bo tego żaden pińczowiak nie uczyni, choć czasem do śmierci go nie zobaczy! Myśli o Pińczowie bez przerwy. To już taki bakcył niemożliwy do zabicia.

Jestem uczniem prof. prof. Olecha i Opary, o których nie napisał Pan rzeczy najważniejszych. Obaj byli kierownikami tajnego nauczania na zespolach liczących niejednokrotnie po kilkanaście osób. Ilość wydanych świadectw dojrzałości (oczywiście dokumenty szły do ziemi), sięga liczby kilkudziesięciu. Niemal normalne, tajne gimnazjum i liceum. Dzięki nim młodzież pińczowska w ogromnej większości była w okresie wojny pochłonięta nauką, co uchroniło ją od wódki i deprawacji. Mam wrażenie, że te komplety tajnego nauczania w Pińczowie były zjawiskiem na tle nocy okupacyjnej zupełnie wyjątkowym. Można by na ten temat napisać b. ciekawy artykuł. Brak najmniejszej „wsypy” świadczy dodatnio o wartości społeczeństwa. Tak tedy jeszcze raz, choć na krótko, zajaśniały dawnym blaskiem „Ateny pińczowskie”.

Ale nie o tym chciałem Panu pisać. Nie jestem aż tak zakochanym w przeszłości Pińczowa jak Pan Prażuch, by Colosseum z Pińczowa wywodzić (choć i ja byłem kiedyś na odczynie znanego profesora, który twierdził, że Michał Anioł w naszym pińczowskim piaskowcu najchętniej rzeźbił). Mnie interesuje przede wszystkim przyszłość mojego miasta.

Jestem technikiem i potrafię ściśle myśleć. I właśnie najcisłszy rozumowanie przekonuje mnie, że skazanie Pińczowa na wegetację, śmierć powolną, może

jest nonsensem, paradoksem, krzywdą, skoro istnieją realne dane do stworzenia żeń żywego ośrodka życia gospodarczego i kulturalnego tej części kraju (tak przez wszystkich zapomnianego!). Rzut oka na mapę wskazuje na organiczne związanie południowej Kielecczyny ze Śląskiem i obecnie Nową Hutą. Rozległe połacie czarnoziemów i lessów, z licznymi sadami i ogrodami, rozwiniętą hodowlą dać mogą znakomite zaplecze żywnościowe dla tych okręgów przemysłowych. Odległość ok. 100 km do Zagłębia Dąbrowskiego jest niczym przy komunikacji normalnotorowej. Linia kolejowa Sandomierz — Busko — Pińczów — Sędziszów — Śląsk, Kraków jest kluczowym zagadnieniem, bez którego rozwiązywania nie można myśleć o produktywizacji tych ziem. Niestety władze zaplanowały i realizują linię południową Kielce — Tarnów, również ważną, ale nie dającą ani drobnej części korzyści, jakie dałaby linia wschód — zachód.

Na terenie powiatów Sandomierz, Busko, Pińczów, Jędrzejów przypada znaczny procent na ziemie tzw. pszenno-buraczane, przy których błędą osławione Kuławy. Na całym tym terenie jest tylko jedna stara (z 1882 r.) cukrownia w Kazimierzy Wielkiej. Ani jednej przetwórci owocowo-warzywnej. Na słynnych pokładach gliny ceramicznej w pow. Pińczów jest tylko jedna mała cegielnia, produkująca elementy budowlane najwyższej jakości. Góry pińczowskie posiadają złoża kaolinu i rudy manganowej i wreszcie piaskowca, który ostatnio tak się w budownictwie rozpowszechnił. Lewy brzeg Nidy — to najbogatsze w Polsce złoża gipsu, leżącego na powierzchni w grubych warstwach, a więc łatwego do eksploatacji.

Wszystko to stanowi doskonałą bazę do stworzenia na tym terenie poważnego przemysłu spożywczego, budowlanego i chemicznego. O tym, na jakim poziomie stoi tam rolnictwo mimo przebogatej ziemi i jakie są dlań możliwości w związku z elektryfikacją wsi i usprawnieniem komunikacji i ośrodkami konsumpcji, nie trzeba pisać.

A sam Pińczów?

Ma wszelkie dane po temu, by stać się centrum tej bogatej krainy. Miejsce na miasto idealne. Lagodne pochylenie ku rzecze (kanalizacja!), doskonała woda w źródłach położonych powyżej poziomu miasta (naturalne wieże ciśnienia!), ładna i zdrowa okolica, rzeka, znaczna odległość od większych miast, wszystko to stwarza możliwości stworzenia tu właśnie zamiast 3 tysięcznego miasteczka — miasta o 30—40 tys. mieszkańców z bogatym przemysłem, szkołami średnimi, pulującego życiem miasta przyszłości.

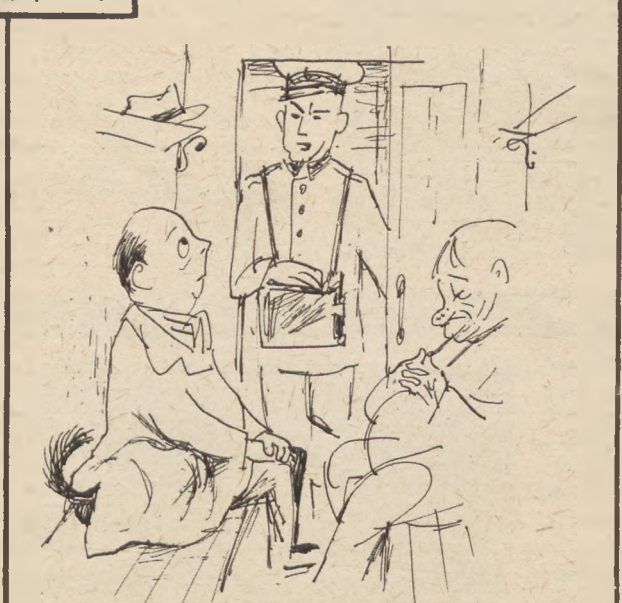
Panie Redaktorze! Pisze Pan, że pińczowiacy stale czekają na coś, na cud, a chociażby pomoc z zewnątrz. Rzeczywiście źle robią! Ale głową muru też nie przebijesz! Trudno małym miścinie, zwłaszcza dziś, w dobie planowania, chcieć i stworzyć u siebie przemysł, zbudować linię kolejową itp. Rzecz musi się zadecydować „u góry”. Nadto i silnej dawki jakiegoś środka orzeźwiającego, by się ocknąć i ruszyć za innymi. Za długo pozwolono mu trwać w bezwładzie. Ale jestem pewien, że najłżejszy objaw zainteresowania się nim — obudzi go. Gdyby tak PKPG ogłosiło, że stworzy możliwości budowy linii kolejowej, o ile ludność stanie do czynu i pomoże w pracochłonnych pracach ziemnych, założę się, że nie brakłoby nikogo.

Panie Redaktorze! Pan rozgrzał to żelazo i niechże nie pozwoli mu Pan daremnie stygnąć. Mam pewne dane, jaką wrzawę wzbudziły Pańskie artykuły o Pińczowie. Gdyby Pan na tym poprzestał i o nas zapomniał, uczyniłby Pan nam wielką krzywdę i zawód. Pańskiej pomysłowości zostawiamy, jaką drogę obrać, ale jeśli doprowadzi to np. do budowy wymarzonej linii kolejowej (proszę pamiętać: Sandomierz — Sędziszów), byłoby to chyba największą satysfakcją dla pisarza. Pomnik Mariana Brandysa z piaskowca na rynku pińczowskim (przez który, jak wiadomo, oś ziemską przechodzi), byłby nie tylko prostą formalnością.

Serdeczne pozdrowienia żałacza

ZBIGNIEW GRUDA
inżynier-mechanik
Włocławek

LENGREN



— A dlaczego interesuje pana ile się płaci za psa?

ROZWIĄZANIA ZADAŃ Z NR NR 162, 163 I 165

Rozwiązanie zadania z nr 162

KRZYŻÓWKA. Poziomo: tenis, barok, elekcja, zefir, rywal, Wisłoka, Napcy, kawka, gazon, Zeus, solo, Iris, agat, asan, rysa, trakt, farasa, kajak, obsadka, lazur, rabat, turbina, akcja, Tabor. Pionowo: tuzin, serwy, Pers, echo, barak, kolia, łoża (znaczenia tego wyrazu omyłkowo nie podano), awersja, co-sinus, Austria, kolizja, gwint, nugat, baca, filia, aorta, karat, kuter, Serb, dzik.

Za dobre rozwiązanie zadania z nr 162 nagrody książkowe otrzymują: W. Jurkiewicz — Bytom, J. Manek — Garbatka, A. Biernacka — Gdynia, J. Kułaś — Gostynin, M. Przybyłowa — Leszno, M. Drozdowski, B. Jaroszek — Lublin, S. Kowalska, J. Młodzianowski — Łódź, R. Pięga — Mikołów, R. Tyrolski — Olsztyn, H. Kosma — Stalino, W. Gawrońska, A. Kamiński, R. Maniewski, M. Wanyura, J. Wykret, Z. Zien-tala — Warszawa, T. Jurczak — Wrocław, M. Kasprzycki — Zgierz.

Rozwiązanie zadania z nr 163

KRZYŻÓWKA. Poziomo: orlik, start, orfik, Byron, A-tena, fason, szale, Diana, e-ra, Dym, Lampe, nacja.

nerka, pałac, warg, jolki, sława, araba. Pionowo: Orbis, larwa, konferencja, Skandynawia, aleja, trasa, Fast, lep, ima, lapis, małpa, trel, certa, agawa.

Za dobre rozwiązanie zadania z nr 163 nagrody książkowe otrzymują: J. Nieć — Cieplice, Z. Wlazłowski — Gdańsk, S. Rudnicka — Gdynia, E. Topol-ski — Jelenia Góra, J. So-becki — Kotuń, F. Rudnic-ki — Kowary, A. Rekorow-ska — Kraków, E. Czule-wicz, K. Słomińska, B. Sta-chowicz — Łódź, F. Łuka-szewicz — Pabianice, T. Sko-czowski — Poznań, H. Chu-decka — Sopot, C. Mazlew-ska — Suwałki, S. Frenkiel, E. Kamiński, K. Mosica, L. Pozorski, J. Skuza — War-szawa, E. Hreczecha — Wro-claw.

Rozwiązanie zadania z nr 165

Arytmokwadrat:
Diabeł kurczy się i krztusi
Aż zimny pot na nim bije,
Lecz pan każe, sługa musi,
Skapał się biedak po szyję.
Jest to wyjątek z ballady
A. Mickiewicza „Pani Twar-dowska”. W zadaniu tym omyłkowo podano zamiast liczby 16 liczbę 6. Wyrazy

pomocnicze: wstęp, gołąb, klucz, żmija, dreny.

Za dobre rozwiązanie zadania z nr 165 nagrody książkowe otrzymują: A. Ku-bica — Bielsko-Biala, I. Jung — Chelm Lub., J. Kwapisz — Chmielów, M. Zieniewicz — Dębno Lubuskie, M. No-wak — Fordon, J. Świer-czyński — Gdańsk, B. Nie-borak — Gdynia, J. Kar-piński — Grodków, A. Ka-

miński — Janów, S. Barto-lewska — Jasło, J. Włoskie-wicz — Kraków, E. Kar-czewski — Olsztyn, S. Raj-ski — Stupsk, E. Ciunkie-wicz — Szczepno, K. Bal-cerski — Śliwice, A. Lobo-da — Tarnów, M. Caune, H. Gryspanowicz — War-szawa, E. Adamiak, J. Swa-dowski — z jednostek woj-skowych.

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY

Redaguje komitet

Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-41-64. Centrala 6-41-02, 6-41-23. Admini-stracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-24-11. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80, roczna zł 57,60.

Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju ze zleceniem wysyłki za granicę udziela oraz zamówie-nia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych PPK „Ruch” Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Jero-zolimskie 119, tel. 805-05.

Zakłady Wkłędodrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa” Warszawa, Okopowa 58/72.

Zam. nr 621. Papier rotogr. V 80—82 cm — 5-B-20498 podpisano do druku 3.11.54 r.

Czego chcemy od m+Hw

PIĘCIORO PRZYKAZAŃ LUDZKICH

NIE MÓW TEGO DRUGIEMU CZEGO NIE BYŁO.
NIE WYSTAWIAJ FAŁSZYWEGO SWIADC-TWA ZONIE BLIŹNIEGO TWEGO.
NIE ODPOWIADAJ NA PYTANIA, KTÓRYCH CI NIE ZADAJĄ.
LEPIEJ SIEBIE UGRYZĆ W JĘZYK NIŻ KO-GOŚ W SERCE.
POMYŚL CO BY BYŁO, GDYBY WARTOŚĆ CZŁOWIEKA OCENIANO WEDŁUG DŁU-GOTRWAŁOŚCI JEGO DYSKRECJI: DZIEŃ, TYDZIEŃ, MIESIĄC... W KTÓREJ GRUPIE BYŁABYS TY?



LADNEJ
BIZUTERII
CZESKIEJ
(jak na obrazku)

a nie

BRZYDKIEJ
BIZUTERII
CZESKIEJ
(jak na wystawach)

tylko
dla
KOBIEC

Moim Córkom i ich Przyjaciółkom

PEWNEGO razu piękny Książę pokochał piękną Dziewczynę.

Działo się to wszędzie daleko, za siedmioma górami i siedzioma lasami, w pięknym mieście o rozległych placach, zielonych parkach i szumzących wodotryskach. Pierwszego wieczora Książę opowiadał Dziewczynie o jej włosach. Ze są koloru szarobłękitnego, zmierzchu, przypominają barwną ulicę o zmroku, piękną ulicę Nowy Świat.

Następnego ranka Dziewczyna niepomna kar milicyjnych wyskoczyła z tramwaju i pobiegła do pobliskiej kawiarni opowiedzieć wszystko Przyjaciółkom. Panny wysłuchały ciekawie i każda historię owego cudzego wieczoru i cudzych zwierzeń powtórzyła dalszym znajomym.

Następnego wieczoru Książę opowiadał Dziewczynie o jej własnych oczach. Ze są jak zapalone pochodnie, dużo piękniejsze od latarni palących się na rozległych placach owego miasta.

Mówił jeszcze, że światło tych oczu ogrzewa mu serce i że przez najgłębsze ciemności nocy świeci ich blask.

Bajeczka o niedyskretnej miłości

Następnego ranka Dziewczyna gubiąc płytkie trzewiczki pobiegła do znajomej kawiarni, aby przeżyć tego wieczoru powtórzyć znajomym Panom. (Wszystko to działo się w bajce — stąd tyle czasu, niezmierzonego czasu kawiarnianego...)

Trzeciego wieczoru (a miało ich być przecież 1000 i jeden!) Książę opowiadał Dziewczynie o jej własnym nosie. Ze jest tak prosty i piękny i że należy podziwiać dłuto Natury, które umiało za-trzymać rzeźbiarski cios właśnie na linii takiej doskonałości...

Następnego ranka Dziewczyna cudem unikając zderzenia z taksówką pobiegła do znajomej kawiarni opowiedzieć wszystkim Przyjaciółkom...

A czwartego dnia, gdy Książę wyszedł z domu, ciesząc się szczęściem

i rankiem tak błyszczącym jak skrzydło ptaka, wróble z dachów zaczęły mu ćwierkać o jego miłości... Każdy ze spotkanych

znajomych uchylając kapelusza robił aluzję do trzech minionych wieczorów, które miały być wieczorami tylko dwójga lu-

dzi, a stały się nawet wróbla tajemnicą. To za-biło miłość. Książę opuścił miasto. Podobno zmienił fach i w malutkim miasteczku jest romantycznym buchalterem. Odzia-ny w satynowe rękawki, przepisuje kolumny cyfr z wielkiej księgi w małą. Wolny czas oddał spra-wom niezliczonych kon-ferencji.

A Dziewczyna? A Przyjaciółki — opowiadały nieprzerwanie dalej wszystko — wszystkim — o wszystkim.

Przy niezliczonych kawiarnianych stolikach: o sałatkach z jarzyn i wypa-daniu włosów, o Ziutce i autorze powieści, której tytułu nie pamiętały, o po-godzie, o cudzych mężach i cudzych wieczorach, małym skandalu filmo-

Gdy nie ma róż i goździków, lub (co częściej) gdy nie masz na róże i goździki — popatrz jak pięknie można ozdobić mieszkanie bukietem z liści jesien-nych.



robić się pusto. Pustka ta z małego miejsca wokół stolika kawiarnianego, przerodziła się w pustkę wielkości całej kawiarni, potem w pustkę wielkiego placu miejskiego, i na ko-niec w wielką łysinę na kuli ziemskiej, w której punkcie centralnym grup-

ka rozplotkowanych Pa-nien ciągnęła niekończą-ce się opowieści o spra-wach prawdziwych i zmy-słonych...

A wobec tej bajeczki nie potrzebujecie zachowywać dyskrecji...

Anna Ziolkowa

(z „Bajeczki“ powyżej)

...piękny Książę pokochał piękną Dziewczynę. (Ale najpiękniejsza suknia wieczorowa nie upoważnia Cię do siedzenia z łokciami na stole. Popatrz, czy nie mamy racji?)



Noga gruba w kostce:



POSTACIE

KTÓRE SIĘ PAMIĘTA

NOWY KONKURS
„ŚWIATA”

KUPON KONKURSOWY			Imię i nazwisko oraz dokładny adres
BOHATER KSIĄŻKI	TYTUŁ	AUTOR	
1			
2			
3			
4			
5			
6			

Postacie, które się pamięta, nie zawsze muszą być istniejącymi kiedykolwiek na świecie osobami. Mogą być także bohaterami przeczytanych książek. I o takich właśnie postaciach mowa jest w naszym nowym konkursie. Sześć zamieszczonych niżej rysunków Ignacego Witza ilustruje sześć dzieł literatury radzieckiej; przedstawione na rysunkach osoby są bohaterami tych dzieł, bohaterami niezapomnianymi. Dlatego też nasz konkurs nie powinien nastroczać Wam, Czytelnicy, poważniejszych trudności. Należy na podstawie rysunku i cytatu z książki podać imię i nazwisko bohatera książki, jej tytuł i autora. Dane te należy wpisać do załączonego kuponu (Czytelnicy, którzy nie chcą uszkodzić egzemplarza „Świata”, mogą po prostu kupon przerysować). Wypełnione czytelnie kupony należy przesyłać na adres redakcji (z dopiskiem na kopercie: „Konkurs”) w terminie do dnia 15 grudnia. Dla ułatwienia podajemy nazwiska autorów sześciu książek: Furmanow, Gorki, M. Ostrowski, Serafimowicz, Szolochow, A. Tolstoj.

Między Czytelników, którzy nadesłają w terminie bezbłędne rozwiązania, rozlosowane będą następujące nagrody: I — teczka skórzana, II — pióro wieczne, III — portfel. Poza tym 50 dalszych nagród — książki.



1. Towarzysze! Pięćset wiorst szliśmy głodni, bosi, obdarci. Szarpali nas Kozacy, jak opętani. Nie mieliśmy ani chleba, ani paszy. Marli ludziska — oj marli — padali w górach, padali pod kulami... nie było czym strzelać... gołymi rękami trza było wroga brać.



2. Proszę mi wierzyć. Jeżeli mi nie wierzycie, nie mam nic do powiedzenia. Mój ojciec, Bulawin, jest waszym wrogiem. Jest także moim wrogiem. Skazał mnie na śmierć, uciekałem z Samary...



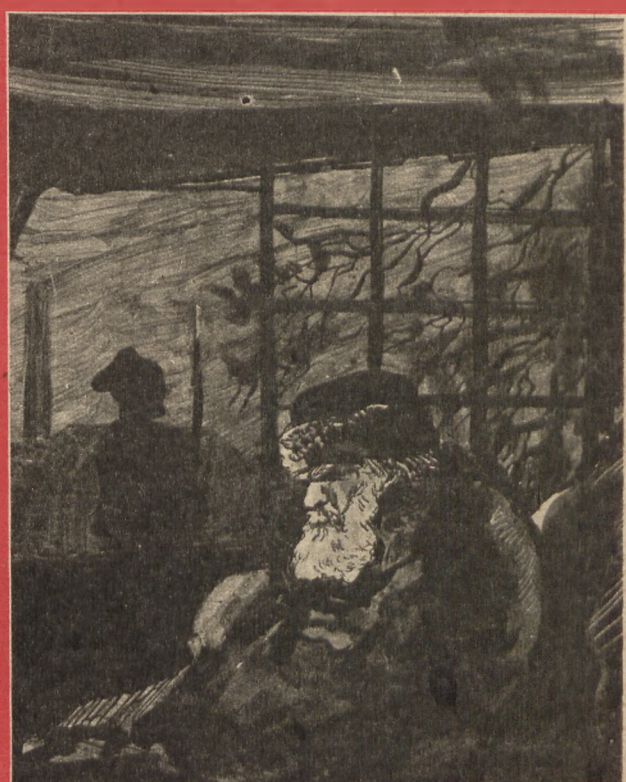
3. W porwanym, wyświechtanym ubraniu i fantastycznym obuwiu, z brudnym ręcznikiem na szyi i z dawno niemytą twarzą stał przed nią Paweł.



4. ...to bohater — mówił sam do siebie Fiodor — reprezentuje sobą wszystko niepowstrzymane, żywiołowe, groźne i protestujące, co się od wieków nazbierało w chłopstwie.



5. Ukłuty żądłem tęsknoty, pokonany napływem wspomnień przytrzymał konia i rzekł: — Dzień dobry, droga Aksinio!



6. ...koło łaźni zawył żołnierz, był już zupełnie niewidzialny, tylko bagnet błyszczał jak ryba w wodzie. Chciałoby się zapytać Tichona o wiele rzeczy.